

Przewodnik Katolicki

Wydawany tygodniowo dla rodzin katolickich. Redaktor naczelny: X. Józef Kłos, redaktor: X. Fr. Forecki



NA DOROCZNĄ UROCZYSTOŚĆ KATOLICKICH STOWARZYSZEŃ MŁODZIEŻY MĘSKIEJ

Postęp, który dobiera się człowiekowi do gardła.

Maszyna i człowiek.

Kanclerz Austrii Schober w jednej ze swoich mów parlamentarnych powiedział: „Maszyna stała się przekleństwem ludzkości”.

Wielki myśliciel Ghandi nawołuje do powrotu do pracy ręcznej, widząc w tym jedyne wyjście z kryzysu.

Są to jednak głosy tonące w warkocie maszyn, w huku nowych wynalazków, w rozpaczliwym huku nędzy ludzkiej. Gdy się ukazuje światu zło, jakie mu wyrządza mechanizacja pracy, podnosi się zaraz wrzawę, że chce się cofnąć kulturę, że droga postępu musi być przed ludzkością szeroko rozwartą i t. d. Ale czy postęp opiera się tylko na technice? Czy nie powinien się raczej oprzeć na duchowym wzroście człowieka? Na jego spotęgowanej sile moralnej? Na jego wzmożonej wartości etycznej?

Ograniczyć użycie maszyn!

Wprowadzić kontrolę nowych wynalazków!

Postawić maszynę na właściwym, przynależnym jej miejscu

pomocnicy człowieka a nie jego pani.

Oto tama dla bolszewizmu, dla nędzy, poprawa doli ludzkości, chleb dla bezrobotnych i przez to samo zahamowanie demoralizacji.

Nic bowiem człowieka tak nie demoralizuje, jak brak pracy i brak chleba.

Maszyna, którą człowiek stworzył, coraz to bardziej doskonała, odbiera chleb milionom, skazuje je na głód i nędzę, w niej leży nędza mas i przyczyna gospodarczego kryzysu świata.

Często nowe maszyny — nowe fale nędzy.

Kryzys to puste słowo.

Przyjrzyjmy się temu z bliska, zastanówmy się.

Dawniej wynalazki pojawiały się od czasu do czasu, nieraz w odstępach całych stuleci, maszyna była nieznaną prawie, ale człowiek miał dostatek chleba i pracy.

Zdobywał chleb w pocie czoła, ale go miał.

Mniej więcej od lat pięćdziesięciu duch ludzki w dziedzinie techniki pracuje z niesamowitym wprost wysiłkiem. Każdy niemal dzień przynosi nowe zdobycze techniki, nowe wspaniałe wynalazki, nowe ulepszone maszyny i — **nowe fale nędzy człowieka!**

Rośnie ta fala nędzy i zalewa świat, równorzędnie z postępowaniem techniki.

Praca maszyn wypiera pracę ręczną, tworzy zastępy bezrobotnych, obciąża coraz dotkliwiej budżety państw, doprowadza do rozpaczliwej masy skazanej na głód i próżniactwo przymusowe.

Dać chleba, dać pracę a bolszewizm zginie sam przez się. Walczyć trzeba nie z kryzysem — pustym słowem, ale z **maszyną.**

Maszyna ma tę wyższość nad pracą człowieka, że spełnia swoje zadanie mechanicznie, nie upija się, nie kaprysi, nie leniuchuje, nie ma przekonani politycznych, pracuje prędko, dokładnie, czysto, jak nigdy nie zdoła pracować człowiek, jest idealną pracownicą i przez to właśnie rośnie w niej coraz groźniejsze niebezpieczeństwo dla człowieka.

W rezultacie wszystkim jest źle...

Zaczął się to jeszcze przed wojną, gdy zdobycze techniki zaczęły ułatwiać, ale równocześnie i usuwać pracę ludzką. Wojna światowa wyrąbała na chwilę wolne miejsce w tłumie wzrastającej liczby bezrobotnych, zniszczyła nadprodukcję pracy, zahamowała równocześnie na jakiś czas twórczość człowieka, w krwawej kąpieli usunęła nadmiar ludzkich jednostek, słowem — **przesunęła kryzys o dziesięć lat.**

Ale coż nastąpiło potem?

Przestano zatapiać i niszczyć miliony ton towaru, przestano marnować ludzki dobytek. Ludzkość wróciła do zwykłej pracy, do normalnego zapotrzebowania i rychło okazało się, że zalewa nas nadprodukcja z równoczesnym brakiem pracy dla ludzkich rąk.

To maszyna, ta sama, która zabiła konia, dobiera się teraz do gardła człowieka. Zdolniejszemu daje chleb lżejszy, odbiera go mniej zdolnemu, ale znowu tego zdolniejszego obarcza troską o wyżywienie bezrobotnego a mniej przez naturę uposażonego brata.

I wszystkim jest w rezultacie źle.

A maszyna pracuje dalej, spokojnie, miarowo, zabójczo...

Ale przecież człowiek może się bronić, może postęp skierować do innych źródeł, doskonalić człowieka w człowieku a z maszyn pozostawić te, które **mu są konieczne potrzebne, jak środki transportowe, świetlne i t. d.**

Człowiek ma przecież rozum, którego koń nie posiada, i trzeba, żeby mu ten

Ewangelia na dwudziestą czwartą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Mateusza w rozdziale 13, w. 31—35.

W on czas mówił Jezus tę przypowieść: *Z królestwem niebieskim rzecz ma się podobnie, jak z ziarnkiem gorczyczym, które ktoś wziął, i zasiał na roli swojej. Mniejszeć ono od wszystkich innych nasion, gdy jednak podrośnie, staje się większym od wszystkich jarzyn, przechodzi w drzewo, tak iż ptactwo powietrzne przylatuje i na gałązkach jego się gnieździ.*

Powiedział im też inną przypowieść: *Z królestwem niebieskim ma się podobnie, jak z kwasem chlebowym, który wzięła niewiasta i zaczęła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasilo.*

Wszystko to mówił Jezus rzeszom w przypowieściach; — bez przypowieści zaś nie przemawiał do nich; — aby się spełniła przepowiednia proroka, który rzekł (Ps. 77²): „Otworzę usta moje w przypowieściach, opowiem tajemnice zamierzonych czasów”.

NAUKA

Nasze wnętrze.

Przypowieść o kwasie należy do tych znanych nam tak dobrze przypowieści ewangelicznych, które uważamy po prostu za najłatwiejsze, nie przedstawiające żadnej

trudności. I przechodzimy nad nią dość szybko do „porządku dziennego”.

A jednak w przypowieści tej kryje się jeden sekret, niezmiernie doniosły i ważny i nie tak znowu łatwy — jakby się to na pozór zdawać mogło.

Już samo zgłębienie tajemnicy — bardzo niby prostej — jak odrobina kwasu, zmieszana z mąką, nadaje smak, „przerabia” ją i t. d., nie jest łatwe. A coż dopiero powiedzieć o tym wszystkim, co kryje się — jako istotne znaczenie — pod tym prostym obrazkiem z przypowieści?..

Fermentacja, wywołana kwasem, połączona jest z tworzeniem się kwasu węglowego, budzi więc jakąś niewidzialną, wielką siłę, która całą masę mąki ożywia, rozgrzewa, podnosi i do trzykrotnej (mniej więcej) objętości powiększa. Dzięki temu chleb staje się pulchny i lekki, nabiera przyjemnego smaku i dopiero wtedy można go spożywać. Bez kwasu, bez jego działania ta masa mąki byłaby niezdatną do spożycia.

Zasadniczy moment, o który chodzi w tej przypowieści — przy porównaniu Królestwa Bożego do kwasu — to: jego **sila wewnętrzna**, przeobrażająca i zarazem

sposób, w jaki to przeobrażenie się odbywa.

I widzieliśmy w dziejach Kościoła żywe przykłady tych, w których **išciło się w całej pełni Królestwo Boże**. Wielcy Święci **przeobrażali się wewnątrznie Bożą Mocą i przeobrażeni tak, że mogli powtarzać: „żyję już nie ja, ale żyję we mnie Chrystus”** (św. Paweł Apostoł), **promieniowali moc i siłę wokół siebie**.

Ci, którzy nie przeobrażali się wewnątrznie byli tylko „miedzią brząkającą i cymbałem brzmiącym”.

Tak było zawsze. I tak będzie zawsze...

I teraz jedno spojrzenie w nasze wnętrze duchowe.

Może to spojrzenie wyjaśni nam: dlaczego blisko 400 milionów wyznawców Chrystusa nie stało się zbawiennym „kwasem ewangelicznym” dla świata.

To spojrzenie wyjaśni nam również dlaczego — tak blisko nas — jest **tak: jak jest** — mimo całych stosów pism o „Akcji Katolickiej”, mimo niezliczonych referatów, kursów i t. p.

Nasze wnętrze — decyduje!

O. Henryk

rozum podyktował nareszcie linię zdecydowanego, zdrowego oporu, przeciw szalonemu, więcej — w stosunku do szerokich mas wprost zbrodniczemu postępowi techniki.

Czym się staje maszyna dla pracy człowieka, niech nam wytłumaczą te kilka przykładów.

3 przykłady — flaszki, kino, rolnictwo.

Wynaleziono w ostatnich czasach maszynę do mycia flaszek. Najdokładniej pracująca maszynka potrzebuje obsługi jednego człowieka a w godzinie spełnia pracę kilkudziesięciu ludzi. Powstaje fabryka do mycia flaszek. W najlepszym razie zatrudni ona kilkudziesięciu ludzi aż do nasycenia rynku zapotrzebowania a równocześnie odbierze pracę setkom tysięcy pomywaczek i pomywaczy. Jednego dnia te setki tysięcy znajdują się bez chleba, powiększą zastępy bezrobotnych, staną się pastwą głodu i idei wyrotowych, obciążą państwo, a więc każdego pracującego, nadmiarem nie rentujących się wydatków.

Z kolei weźmy — kino. Wyrzuciło na bruk tysiące grajków i muzyków, zjadło teatr, zatrudniło kilka setek utalentowanych, wyrzuciło na bruk tysiące, obciążało państwo nową falangą bezrobotnych.

Rolnictwo. Weźmy tylko skromną, każdemu znaną maszynkę do okopywania ziemniaków. Takie zdawałoby się nic, tania, gospodarz rolny nabywa ją i jest zachwycony. Słusznie, gdybym była na jego miejscu, podzielałabym jego zadowolenie. Maszyna pod jego osobistym kierownictwem okopała łan ziemniaków, którego okopanie ubiegłego roku kosztowało go około 100 zł, nie licząc wikt dla kopaczy; po-

kryła więc już w pierwszym roku wyłożony na nią grosz i dała gospodarzowi zysku 30 zł i wikt zaoszczędzony.

No, ślicznie.

Ale co mają robić wyrobnicze dzienne,

które dotąd zatrudniał gospodarz? Brak im nawet przygodnego, nawet sezonowego warsztatu pracy. Powiększą tłum bezrobotnych. Tłum, z którego najlepsi staną się żebrakami, albo samobójcami a gorsi powiększą zastępy bandytów. A przecież to są także ludzie, którzy chcą pracować i którzy mają prawo do pracy i życia!

Postęp, który odbiera chleb człowiekowi, nie jest postępem. Kultura, która spycha na dno nędzy miliony najślabszych jednostek, to nie kultura.

W Ameryce, w ostatnich czasach ustawiono maszynę przedalniczą, która obsługiwana przez jednego człowieka spełnia pracę kilku tysięcy pracowników.

Został więc fabrykant, ciągnący zyski i jeden współpracownik, pewno dobrze płatny, a reszta?

Obciążała państwo.

Powiedział Edison, że za kilka lat postęp techniki ograniczy pracę człowieka do dwóch godzin dziennie, ale życie dopowiedziało to, czego wielki wynalazca nie przewidział — że wytworzy ten postęp głód chleba i głód pracy.

Stworzy nadmiar i zuboży wszystkich.

A co będzie z obsługą statków, jeżeli wejdzie w życie statek kierowany falami radiowymi? Co stanie się z lotnikami, gdy trud pilota przejmie robot? Nowy zastęp bezrobotnych. Zmniejsza maszyna trud pracy, ale odbiera chleb; zmniejsza niebezpieczeństwo śmierci, ale stworzy niebezpieczeństwo powolnego konania z nędzy.

Nadmiar produkcji, taniość towaru, nadmiar inędza, głód i niepewność jutra.

I zawiść.

Polska ma jeszcze stosunkowo najmniejszy procent bezrobotnych ale i tak wielki jest ogrom nędzy ludzkiej i trzeba nareszcie podjąć rozumną walkę z maszyną. Produkcja będzie droższa, uciążliwsza ale da chleb dla wszystkich rąk.

U nas wystarczyłoby ograniczenie maszyn w rolnictwie, częściowe unieruchomienie maszyn w warsztatach, częściowe zastąpienie pracy maszyn w przemyśle.



Jak długo jeszcze własnoręcznie wykonywać będzie pracę chleb mu dającą?

Nie sprowadziłyby to nędzy na rolników, ani na przemysł upadku, przeciwnie, podrożałaby robocizna ale równocześnie podniosłaby się cena produktów i zwiększyło zapotrzebowanie.

Dać człowiekowi pracę, to nie tylko wyratować go z nędzy moralnej i z niedoli fizycznej, ale to puścić pieniądź w ruch a tym samym zwiększyć siłę kupna i wartość pieniądza, a równocześnie oswobodzić państwo od nieproduktywnych wydatków na bezrobocie, na więzienia i t.d.

Dlaczego u nas jest stosunkowo lepiej niżeli w innych krajach? Bo u nas wojna najwięcej zniszczyła, bo nasz nowy byt państwowy nie mógł jeszcze dotrzymać kroku sąsiadom w postępie techniki, bo mamy mniej maszyn, niżeli oni i przez to mniej jednostek ludzkich pozbawionych warsztatów pracy.

Ameryka, Anglia — kroczą na czele postępu i na czele nędzy. Niemcy mają 5 milionów bezrobotnych i chaos gospodarczy, z którego wybrnąć nie mogą. Hiszpania ma walki bratnie, których tłem jest zarówno zmaganie się pierwiastka religijnego z bezbożniczym, ale również i brak zatrudnienia i nędza mas. Francję ratują w tym wypadku bogate kolonie, ale i ona, która dawniej dawała pracę innym narodom, dzisiaj nie ma już chleba dla swych własnych dzieci, mimo że wymierającym jest narodem. Włosi stworzyli sobie szerszy oddech przez wojnę abisyńską. Sowiety mają wspaniałe gmachy, doskonali armię i walki o zboże. Brak ubrania i chleba. Anglia znajduje się w warunkach równie trudnych jak Niemcy. Ameryka, ten obiecany kraj wszelkich możliwości, topi tysiące ton kawy, pali zboże a równocześnie w jednym, tylko zimowym miesiącu roku ubiegłego ginie w niej z głodu kilka tysięcy bezrobotnych, a bandytyzm dochodzi do niebywałych rozmiarów. (Dokończ. na str. 755)



Może niedługo już, a maszyna wytrąci mu z ręki narzędzie pracy.



Trudno nam dziś pojąć gorące nabożeństwo praocjów do św. Stanisława zaraz po jego śmierci. Prawie ustawicznie narażana na niepewne losy wojny, uciekała się do niego dawna Polska; jak się w niebezpieczeństwie dziecko ucieka do ojca lub matki.

W roku 1621, napadnięty przez 300 tysięcy Turków i Tatarów pod dowództwem Osmana, prosi pobożny Zygmunt III papieża o przysłanie do Polski głowy św. Stanisława. Dnia 10 października odnoszą wojska królewskie zwycięstwo pod Chocimem. W dniu bitwy widzi Ojciec Mikołaj Oborski w Kaliszu we śnie św. Stanisława kłęczącego przed Matką Boską i wstawiającego się za ojczyznę.

Głowę Świętego umieścił Zygmunt w królewskiej kaplicy w Warszawie i póki życia nigdy się z nią nie chciał rozłączyć. Raz do roku wystawiano ją uroczysto na widok publiczny. W przeddzień święta sam Zygmunt, ubrany w kosztowne szaty królewskie, brał do rąk swych złoty relikwiarz i zamkniętymi gankami niósł go do świątyni Jezuitów.

Naprzeciw wychodziła uroczysta procesja zakonników w komzach, ze świecami w ręku. Przełożony brał z rąk

Cześć św. Stanisława Kostki w dawnej Polsce.

króla relikwię i wystawiał ją na ołtarzu, gdzie spoczywała przez dzień następny.

Cały dwór i familia królewska, senat i wszyscy dostojnicy przystępowali z kolei po Mszy św. do całowania relikwii. Po uroczystości odnosił ją król własnoręcznie do swej kaplicy.

W roku 1648 wzywa Przemysł skutecznie opieki Świętego przeciw oblegającym go hordom kozackim. Cud był tak oczywisty, że nie tylko chrześcijanie ale nawet Żydzi uznali go jednogłośnie.

Jak Dziewica Orleańska wypędziła z Francji Anglików, jak św. Tereska z Lisieux broniła swej ojczyzny przeciw Niemcom, tak bronił św. Stanisław Polskę przed najazdami jej drapieżnych sąsiadów.

Kiedy w roku 1651 miał król Jan Kazimierz stoczyć stanowczą dla narodu walkę z Tatarami i Kozakami, udał się sam przed cudowny obraz Świętego w Lublinie i tam w długiej modlitwie,

tysięcy wojska nieprzyjacielskiego obległo Lwów. Jan miał najwyżej 15 tysięcy rycerstwa.

Upatrzawszy chwilę, król wówczas jeszcze nie koronowany, osobiście wystąpił z okopów. Królowa padła na kolana przed obrazem św. Stanisława.



Dr. Stanislaus di: Berouich, ueberlitterer Engel, Gift für mirch



Wahre Abbildung des Heil. Stanislaus Kostka S.I. wie selber in der Procession der Canonization salernitat den 3. Aug. 1727 zu Wien in sit herim gebrungen worden

leżąc krzyżem na gołej ziemi, polecał mu Polskę. Nazajutrz po uczynionym ślubie rozpoczął się krwawy bój pod Beresteczkiem, zwycięski dla oręża polskiego.

Wdzięczny król posłał szczerozłotą szatę na obraz Świętego.

W roku 1675 Tatarzy w niezmiernie liczbie wpadają na Ruś. Rozpacz opanowała umysły. Sobieski za „ostatnią koszulę” zaciąga nowe szyki, naprawia szańce Lwowa. Pięćdziesiąt

„Kostko, ratuj!” zawołał król. Odniesiono takie zwycięstwo, że Europa wyraźnemu cudowi je przypisała. Tradycja mówi, że widziano postać świętego młodzieniszka unoszącą się nad walczącym wojskiem polskim.

Ale nie tylko losy wojen odchyłał Stanisław na korzyść Polski. W czasie procesu kanonizacyjnego spisano oczywistych cudów 99. Burmistrz i rady miejskie Lublina, Lwowa, Warszawy, Poznania w uroczystych, własnoręcznymi podpisami opatrzonych świadectwach zeznały, że jedynie za wyraźną przyczyną św. Stanisława grody ich wolne zostały od zarazy pustoszącej całą okolicę.

Dzień święta Stanisława był, jak wyraża się jeden z pisarzy jego życia, drugą wielkanocą w Polsce. Nie szczczędono kosztów i zabiegów. Miasta jak Poznań, Kraków, Lwów, Lublin już dnia poprzedniego przybierały świąteczną szatę. A cóż mówić dopiero o samej uroczystości? — Lud, szlachta na dziesięć mil z okola zjeżdżała się do większych miast na solenne nabo-

(Dokończenie na stronie 748)

U góry na lewo: Tarcza z orłem Zygmunta Augusta (czas, gdy żył św. Stanisław Kostka). Dzieciątko Jezus wskazuje na lilię białą, spoczywającą na ramieniu św. Stanisława.

Rzeźba Aleksandra Borawskiego (Fot. W. Pikiel, Warszawa)

Trzy dalsze obrazki mówią nam o wielkiej czci jakiej zaznawał św. Stanisław Kostka u obcych narodowości. Na dole obrazek rzymski z 18-go wieku wielbiący św. Stanisława jako Opielkuna w walkach narodu polskiego z Turkami. Drugie dwa obrazki to obrazki niemieckie. Środkowy jest odbitką obrazu obnoszonego po ulicach Wiednia w roku 1727, zaś górny obraz wychwała w niemieckim podpisie bohaterską cnotę cierpliwości anielskiego młodzieniszka.



Temu, który krzepił serca i polepszał dusze.

W 20. rocznicę zgonu Henryka Sienkiewicza.

Prawdziwe słowo o znaczeniu i wpływie Sienkiewicza mogą dzisiaj powiedzieć przede wszystkim starsi — ci, którzy współcześnie z nim żyli, którym pokrzepił i polepszył dusze, iż poznali, jaka jest droga Polaka.

Gdyby dziś, w tę dwudziestą rocznicę śmierci Sienkiewicza zapytał ktoś, jakżeśmy my starsi rozumieli, czuli, kochali i czcili tego wielkiego pisarza, nie można by mu wskazać lepszego i piękniejszego ujęcia tych myśli i uczuć naszych, jak *Mowę ks. Józefa Kłosa* na nabożeństwie żałobnym za duszę s. p. Henryka Sienkiewicza w Kolegiacie Farniej w Poznaniu, dnia 28-go listopada 1916 r.

My starsi wszyscyśmy czuli i dziś tak samo czujemy, że Sienkiewicz był nie tylko wielkim pisarzem, ale wielkim człowiekiem, wielkim Polakiem. Mówmy, co chcemy, ale wielkość pisarza, choćby miał największy talent, polega przede wszystkim na wielkości duszy. Najpiękniejsza forma,

najpiękniejszy język, będzie pustym brzmieniem, jeśli go nie napełni treść, która może krzepić i polepszać dusze.

Gdy ginęła w narodzie rycerskość.

W czasach, w których Sienkiewicz rozpoczął pisać, Polska była w niewoli. Ale aż do owych czasów wiara w jej zmartwychwstanie biła w sercach polskich z religijną niemal mocą. Duch bohaterski żył i co jakiś czas zrywał się do walki, do ofiar. Lecz poddać nie mógł. Powstania upadały. I wtedy zaczęto naród przekonywać, że nie podda, że bohaterstwem walki orężnej nic nie zdziała, że minął czas oręża, a nadszedł czas walki pługiem rolnika, maszynami fabryk, narzędziami warsztatów, obrotami kupieckimi i bankowymi. Nazwano to pracą pozytywną. Niewątpliwie bez takiej pracy nie obejdzie się naród, ale jego duszy potrzeba jeszcze czegoś więcej. Musi kochać i czcić jeszcze coś wielkiego, czemu warto by

złożyć nie tylko ofiarę trudu i potu, ale ofiarę krwi i życia. A przy tych nowych hasłach ginęła właśnie rycerskość. W pogoni za majątkiem i dobrobytem zatracala się gdzieś Ojczyzna, która

dobyc oręża ku jej obronie i ofiarnie krew za nią przelać. Dał więc ten obraz chwały i rycerskiej miłości Ojczyzny w nieśmiertelnej swej *Trylogii*, złożonej z trzech powieści: *Ogniem i mieczem*, *Potop*, *Pan Wołodyjowski*.

Umiał tu wybrać szczęśliwie Sienkiewicz takie właśnie czasy rycerskie, w których Ojczyzna tonęła i kiedy tylko silna wiara, miłość i bohaterstwo mogło ją ocalić. Umiał wybrać czasy, kiedy wobec niebezpieczeństwa Ojczyzny cichły wszystkie nienawiści stanowe w sercach prawych jej synów, a z piersi wyrwał się jeden głos: Dla ciebie Polsko!

Umiał też przemówić tak pięknym językiem, jakim dotąd jeszcze powieść polska nie przemawiała.

Darmo dziś różne drapibrązy, t.j. odrapawcze wielkich ludzi z czci, zasługi i wartości, chcą odrapać z wartości sienkiewiczowską *Trylogię*. Nie zdołają tego dokazać, gdyż piękniejszego

rycerstwa nie umiał duszy polskiej pokazać żaden inny utwór.

Ponadto *Trylogia*, choć jest obrazem rycerstwa Polski szlacheckiej, stała się właśnie najpoczytniejszą lekturą w polskich chatkach. Bo rycerskość i ofiara krwi dla Ojczyzny nie zna klasowej nienawiści. Krwią na poboju pisze najtrwalsze i najszacowniejsze dyplomy szlacheckie.

To właśnie sprawiła niezapomniana

Trylogia, którą w tornistrach brali ze sobą żołnierze polscy, idąc w bój za Polskę. Przez *Trylogię* wzniósł się na nowo w górę rycerski sztandar. Ożyła sława dawnej Polski. Wyrzała z niebieskiego błękitu dymem fabryk przysłaniania Ojczyzna.

I dziś — chcesz wrócić sercem do Polski, chcesz wiedzieć, co kochasz i dlaczego, czytaj *Trylogię*, choć są tacy, co wszelkimi siłami chcą ci ją z rąk wydrzeć.

O kamień węgielny polskiej duszy.

Tak jak pod wpływem hasła owej pozytywnej pracy, gi-



Henryk Sienkiewicz w swojej pracowni. Rozwieszona na ścianie broń i myśliwskie zdobycze świadczą o zamiłowaniu wielkiego pisarza.

powinna była być celem tego dobrobytu. Jej wolność w niedługim już czasie mogła stać się tylko próżnym marzeniem. Trudno było podnieść ją i przywrócić do życia jedynie przez maszyny i sklepy.

Dojrzał to niebezpieczeństwo Sienkiewicz. Dostrzegł, że temu opadnięciu skrzydeł polskiej duszy mógł zapobiec tylko obraz dawnej chwały Ojczyzny, obraz jej prawych rycerzy, umięjących



Zapalczywy Zbyszko, główny bohater powieści „Krzyżacy“, naciera niebacznie na krzyżackiego posła Lichtensteina, myśląc w młodej głowie, że mu szczęśliwy los nadarzył pawęż czub rycerski, który ślubował zdobyć dla Danusi.

Obrazek A. Piotrowskiego z książki p. t. *Krzyżacy*, wydanej nakładem Gebethnera i Wolfa w r. 1928

nęła rycerskość i miłość Ojczyzny, tak różne naukowe hasła podmywały w duszach inteligencji polskiej najważniejszy kamień węgielny polskiej duszy i polskiej kultury — wiarę w Boga. Sączyło się w dusze zwątpienie w wartość życia i w jego nadprzyrodzone cele, w religię i Kościół.

I to niebezpieczeństwo dostrzegł Sienkiewicz. W dwóch powieściach, przedstawiających ówczesne życie inteligencji (*Bez dogmatu i Rodzina Połanieckich*), pokazał bezsilność i rozbicie człowieka bez dogmatu wiary i prostą, gorącą wiarę kobiecego serca, która na drogę wiary sprowadza obojętnego dla tej wiary mężczyznę.

Ale do samych źródeł wiary, z których ona i dziś jak przed wiekami płynie na cały świat, sięgnął wielki pisarz w powieści „*Quo vadis?*” (czyt. *Kwo wadis*).

Łaciński to tytuł. Po polsku brzmiałby: *Dokąd idziesz?* Takie bowiem pytanie zadaje św. Piotr Chrystusowi, którego spotkał na drodze za bramami Rzymu, uchożąc z Wiecznego Miasta przed prześladowaniem Nerona. Zawraca Piotr, zawstydzony odpowiedzią Pana, i oddaje swe życie na męczeńskim krzyżu, błogosławiąc Miastu i Światu, ufny w przyszłe zwycięstwo Krzyża.

I znowu znamienny wybór tematu.

Nie chwilę zwycięstwa Kościoła, wybrał Sienkiewicz, ale chwilę najsroźszego prześladowania, aby dzieło swoje zakończyć pokrzepiającymi i dla Polski słowami: „Tak minął Nero, jak mija wicher, burza, pożar, wojna lub

mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu.”

Czyż te słowa nie były słowami krzepiającymi nas w czasach przed odrodzeniem Polski? Czyż nie są nimi i w dzisiejszej chwili, kiedy różne Nerony chcą podważyć fundamenty bazyliki Piotrowej?

Przez „*Quo vadis*” Sienkiewicz stał się pisarzem światowej miary. Żadne z dzieł jakiegokolwiek pisarza współczesnego nie doczekało się przekładów na tyle języków, w ilu ukazały się przekłady tej wspaniałej powieści Sienkiewicza. Przełożono ją bowiem w 36 ję-

zykach. Jedyne dzieło polskiej literatury, które tak olbrzymi zyskało sobie rozgłos. Przez „*Quo vadis*” Sienkiewicz przypomniał światu Polskę.

Jeszcze raz doborem tematu, wspaniałością obrazów i pięknnością języka olnił, zachwycił i wstrząsnął nasze serca Sienkiewicz, kiedy na przelomie wieków, w r. 1900 dał nam „*Krzyżaków*”. Niezapomniane to dla polskiej duszy

Po „*Krzyżakach*” nie napisał już Sienkiewicz żadnego dzieła, któreby mu zapewniło taki rozgłos jak poprzednie. Ale za to wykończył dzieło swojego życia na tej samej drodze polskiej i katolickiej, z tą samą wielkością serca. Jako siedemdziesięcioletni prawie starzec, nie mogąc inaczej służyć polskiej sprawie, służył jej ze Szwajcarii — dziełami miłosierdzia w Komitecie Nie-

sienia Pomocy Ofiarom Wojny. I wśród tych dzieł, wpatrzony w świt wschodzącej na nowo wolności Ojczyzny, z modlitwą „*Pod Twoją obronę*”, zamknął oczy w Vevey w Szwajcarii dnia 15. XI. 1916.

Cóż dziwnego, że śmierć Sienkiewicza okryła powszechną żałobą cały naród polski: wielkich i małych, uczonych i prostych.

„Nućcie żałobne pienia — wzywał ks. prałat Kłos w swej Mowie żałobnej — i zwołujcie lud na ofiary zaduszne, bracia kapłani... najszczerze wydobywaj modły z gołębih serc, takie, jakie ty tylko umiesz snuć z duszy, ludu polski, co po raz pierwszy na jego książkach uczyłeś się z zapartym oddechem wczytywać nie tylko w cudne baśni, lecz w prawdziwe dzieje ojczyste... niewinne ręczęta i łzawe oczy wznoszą za nim ku Bogu, dziatwo nasza, w której obronie on przemawiał do świata całego... mówcie pobożny wieczny odpoczynek, którzyście w dziejach jego znaleźli podparcie dla wiary swojej, zachwianej huraganami i burzami życia... pamięć wdzięczną a wieczną ślubuj mu, cały Narodzie, skoro on stał Ci się pocieszycielem, chluba najwyższą, chwałą Twojego imienia i budowniczym Twojej przyszłości.”

Niech to wezwanie ponownie się dzisiaj odezwie w tę dwudziestą rocznicę umiłowanego przez naród pisarza i niech ku jego grobowi w krypcie katedry św. Jana w Warszawie, gdzie spoczął uroczyście sprowadzony z obczyzny, zwrócić się dziś z modlitwą i wdzięcznym, pełnym czci wspomnieniem serca wszystkich, którzy tak go kochają i czczą, jak my starsi czciliśmy go i kochaliśmy za pokrzepienie serc i polepszenie dusz naszych.



ŚMIERĆ CHILONA

Chilon, Grek, to jedna z postaci w powieści *Quo vadis*. Drwił z chrześcijan i zdradzał ich, ale gdy widział ich konanie, w twarz rzucił Nerońowi w cyrku oskarżenie, że nie chrześcijanie, ale Neron jest podpalaczem Rzymu. Za to Chilon poszedł na krzyż, ale przed tym otrzymał chrzest z rąk św. Pawła. Oto chwila, gdy wypuszczony na arenę cyrkową niedźwiedź zbliżył się do krzyża, lecz zamiast rozedrzeć ofiarę, usiadł, jakby się w nim ozwała litość. W tej chwili Chilon, wycieńczony doznanymi poprzednio katuszami, skonał. Obrazek J. Styki z przekładu francuskiego *Quo vadis*, przepięknie wydane przez wydawnictwo Ernesta Flammariona w Paryżu.

dział. I polskie — i chrześcijańskie. Polskie — bo po dniach grozy i po krzyżackich nieludzkich okrucieństwach przychodzi wspaniałe zwycięstwo Grunwaldu; chrześcijańskie — bo pokazuje, że płaszcz zakonny z krzyżem na piersiach nie daje jeszcze prawa do miana rycerza chrześcijańskiego. Ideał tego rycerza pokazał polski rycerz Jurand ze Spychowa, kiedy katowi swej Danusi, krzyżackiemu rycerzowi Zygrydowi, rozciął więzy i puścił go wolno. Walczyć mógł Jurand na polu bitwy, ale nie umiał mścić się jak Krzyżacy.

JAGODY

Była jeszcze noc ciemna — we wsi odezwał się kogut jeden, potem drugi, trzeci. Bezszelestnie prawie zesunęła się stara Marcinowa z łóżka. Po omacku pozbiierała kosz i dużą płócienną szarą płachtę, którą umocowała go na plecach, kawałek placka owsianego, co na stole leżał, wsunęła za pazuchę. Ktoś lekko zastukał w szybę. Wyszła z izby i przez sień na pole. Świeże i rześwe powietrze sierpniowej nocy owiało ją.

— A toście, już kumo? — odezwał się głos spod ściany:

To Walentowa, przylepiona twarzą do okna, próbowała dopatrzeć czegoś w czarnej czeluści izby.

— A jużem tu — no, idziemy — komu w drogę...

Ruszyły ulicą przez wieś — dwa szare cienie. Kosze na plecach, płóciennymi plachtami przytrzymane, robiły wrażenie jaśniejszych nieco garbów. Jeszcze kilka podobnie cichych garbatych cieni sunęło przez wieś. Zbiły się w kupkę, szybkim krokiem szły naprzód, sennie, jeszcze nie miały ochoty do pogawarki.

Co drugą noc wędrowały w ten sposób prawie na szczyt Turbacza, gdzie na zboczu północnym, na szerokich polanach, popod rzadkimi zagajnikami zwartej zieleni sztywnych i jakby lakierowanych listków wisało niezliczone mnóstwo czarnych jagód, tu borówkami zwanych.

Mił było trzy, a może i więcej — dobre cztery godziny drogi a i potem zadyszały się stare, spracowane piersi, bo góra była nie bylejąka i ścieżki pięły się stromo. Ale ten trud, ból w nogach, w krzyżu przynosił jednak pewnych parę złotych — trafiła się i piątka czasami, jeśli szczęście sprzyjało i jakaś pani letniczka hojniej ten znój wynagrodziła.

Pod bosymi stopami szybko ubywało gościńca. Przeszły most na Dunajcu, najpierw jeden, potem drugi. Na ochotniczej drodze szło się już gorzej, bo wyboista była, a noc bez księżycy, cie-

mna. Ale już niebo na wschodzie pobielalo i białosc ta rozciągała się naokoło w obie strony, jakby pierścieniem obejmując horyzont i wchłaniając w siebie gwiazdy, że już świeciły jasno tylko nad głowami. Ziemia, krzewy i drzewa i kamienie na drodze zaczęły stopniowo stawać się szare i jakby przezroczyste. Jasność na wschodzie nasiąkała barwami z przewagą seledynowej i różowej, która później przejść miała w złoto.

I świat naokoło nich ożywał równocześnie z tymi zmianami na niebie — przybывało barw i odcieni. Wschód słońca zastał je na szczycie. Przystadły na chwilę na polanie, każda kawałek placka z zanadru wyciągnęła i pobożnie się przeżgnawszy, odłamała kawałek, żuła pomalutką jakby z namysłem. Sześć ich było, trzy stare i trzy młode.

— Widzi mi się, co gorąco dziś będzie wielgie — odezwała się Walentowa.

— To trza rwać, a skoro.

I pierwsza wstała Marcinowa.

Miała ona szczególny jeszcze powód do pośpiechu. Zebrane jagody musi oto sprzedać jeszcze dziś, koniecznie, bo wszak brakuje jej do tej piątki na doktora dla Franka. Chłopak z opuchłą ręką dłużej już przecie chodził nie będzie. Gorączka z ręki idzie dalej po ciele, nic serwatka, ani liście, którymi go okładają, nie pomogą. Mówi córka, że wyjdzie mu to i dobrze będzie i nie trapi się wielce, tyle bo ma roboty i wszelkiego frasunku. Ale babce inaczej się widzi i tego ukochanego wnuka tak jej bardzo żal, że ustawicznie w ciągu drogi myśl wraca do niego. Spał, gdy odchodziła, ale odychał szybko bardzo i nierówno. — Czy mu też każe

matka iść za gęsiami, czy też pozwoli w cieniu i chłodzie poleżeć w sadzie na trawie? Tak przecie wczoraj doradzała, bo dziecko zestabło od tego bólu i ledwie na nogach się trzyma. Tak, musi bardzo się pośpieszyć, może jeszcze da radę i chłopca przy wieczornej

I stała Marcinowa nad swoim do trzech czwartych pustym koszem. Zawodzić już nie mogła, sił jej brakło.



— No chłopcy, nic tu po nas, zmykajmy!

robocie w domu zastąpić, jak się jej powiedzie i kosz swój odrazu sprzedada.

Szybko sunie pierwsza drobnym krokiem na dół, a tam między borówczanymi łanami już migają gdzieś chustki ochotniczanek. Wiadomo, tak niedaleko mają, to mogą być już przed wschodem słońca. Ale jagód starczy dla wszystkich. A do koszyka Maciejowej to jakby się same sypały — koszyk tak szybko się zapełnia, już ma połowę, trzy czwarte, jeszcze dobra chwila, a pełen będzie. Bo też kobieta ani razu prawie nie podniesie głowy, nie wyprostuje zgiętych w kabłąk pleców, ale zbiera, zbiera... No, koniec, już pełen kosz. Trzeba się wyprostować — ale ten krzyż, prawie że w łuk wygięty, naprostować się nie chce — jakby jeden za drugi pozachodziły kręgi i siłą ich nie rozsunie. I boli i ściga. Dała mu rady jednakowoż. Wyprostowała się, krwią nabiegłymi z wysiłku oczami rozejrzała naokoło, szukała słońca, żeby wiedzieć, ile czasu ma przed sobą. Potem koszyk spróbowała podźwignąć na siebie, ale nie szło. Pomogła jej blisko będąca dziewczyna. Płócienną płachtą mocno go podwiązała i ruszyła z powrotem ku górze, rzucając krótkie „Bóg zapłać“.

— A co to, ciotko, tak dziś śpieszycie? Trza wypocząć choć krzynę — niedobrze tak gonić. Ostańcie.

Stara obróciła się.

— W chałupie mi trza być z polednia, chłopak chory... Franek.

I szła pod górę, a kosz był tak bardzo ciężki.

— Byle do szczytu, to potem już same nogi poniosą.

I poniosły istotnie na dół po kamienistej, stromej ścieżce. Ciężar kosza spycha na dół, trzeba się przycisnąć ku tyłowi, żeby głową naprzód nie stoczyć się na dół.

A z dołu idzie rażno trzech chłopców, podkute buty, gołe kolana, spodnie krótkie, otwarte koszule na złotobursztynowej piersi.

— Jur, lecisz jak aeroplan, stańże, daj odsapnąć!

— To sapaj, kiedyś taki niedołęga, do schroniska kawał, a potem gdzie Nowy Targ? Myślisz może, że pociąg czeka. A jak się spóźnimy, to kino w Zakopanem się spali i tyle.

— Słuchaj, a forsa jest?

— Taka ci piątka okrągłutka, uszpaporowana, cacko.

— E, z Kota majster.

Nazwany majstrem z dumą podniósł głowę i skoczył na wielki głaz na ścieżce. On w tej trójce „nosił mieszek“ i cudów przemyślności i oszczędności dokazywał i nieraz przyjaciółom robił niespodziankę jakąś nadprogramową przyjemnością.

Zrównali się z Marcinową i wywiązała się rozmowa:

— A wy skąd, babciu, idziecie?

— A hań, z Turbacza, z jagodami.

— Jagody macie w koszyku?

— A hej.

— To dajcie nam trochę, pić się chce na takim skwarze.

— Ile panowie se wezmą? bo kosz ciężki, nie opłata go z pleców ściągać dla odróbki.

Kot, skarbnik gromadki, pokazał jej aluminiowy rondel, wiszący u pasa.

— Do tego nam nasypiecie pełno — ile to będzie?

— Będzie litr, albo i więcej — trzydzieści groszy dacie?

— Dużo trzydzieści, dwadzieścia pięć dosyć.

— Niechże będzie.

Zaczęła rozwiązywać płachtę. Jur jej pomógł kosz na ziemię spuścić. Leżał u nóg ich płaski kamień, na nim kosz wsparła, namierzyła jagód do rondelka. Kot na ciemną, prawie bru-

natną rękę, sokiem jagodowym zabarwioną, dwadzieścia pięć groszy odliczył.

— No, będziemy wyglądali jak żydowskie bachory w miasteczku po pierogach, gdy to wsuniemy — śmiał się Jur.

Już Marcinowa miała kosz z powrotem płachtą owijać i na plecy dźwignąć, gdy nagle laska, na której się opierał „skarbnik“ obsunęła się i wytrąciła kamień, na którym wspierał się ów kamień płaski, za podporę koszowi służący. Nim się wszyscy spostrzegli, już kosz się przechylił i jagody, ruchomą granatową falą potoczyły się na dół.

— O mój Jezusicku! Cóżecie to porobili! O Rany Boskie, a ręka Frankowa...

I stała Marcinowa nad swoim do trzech czwartych pustym koszem. Zawodźć już nie mogła, sił jej zabrakło.

— No, chłopcy, nic tu po nas, zmywajmy! Co nam po babskim lamencie?

I trzeci, Wit, dał hasło do odejścia. Ruszyli szybko ku górze w milczeniu. Wit sięgnął po garść jagód i do ust sobie nasypał.

— Słodkie — mruknął.

Uszli może pięćdziesiąt kroków, gdy nagle Jur odezwał się lakonicznie:

— Świnie.

— Tak?

— Co takiego?

Tamci nie zrozumieli widocznie, więc powtórzył dobitnie:

— Świnie.

— Gdzie? — i obaj rozejrzeli się w koło.

— Rozum mu się pomięszał, czy co?

— mruknął Kot — gdzie tu świnie?

A Jur powtórzył jeszcze dobitniej:

— Świnie.

Teraz na Kota jakieś olśnienie przyszło, bo rzekł:

— Świnie my — tak?

Przystanęli wszyscy.

— Więc co? — spytał Jur.

— Ano, trza to odświnić, nie ma rady. Słuchajcie, kino głupstwo, a na nogach do Zakopanego też zajdzie.

— Pewnie — no, to szoruj na dół!

— Sam mam iść?

— My za tobą.

Potoczyły się kamienie pod chłopcami, lecieli w dół ku kobiecie, którą zastaniał zakręt dróżki. Stała jeszcze nad swoim koszem, z wyblakłych oczu płynęły łzy i szybko, prawie tak szybko jak te rozsypane jagody, toczyły się po zmarszczkach na policzkach. Przed sobą widziała Franka z opuchłą, rozognioną ręką i bolesnymi oczami. Na łoskot lecących kamieni obróciła głowę, a widząc pędzących ku niej chłopców, jakby odruchowo chwyciła kosz, chcąc tę resztkę jagód przed nimi ocalić.

Kot już był przy niej i wciskając do ręki pieniąż, szepnął:

— To, żebyście o nas źle nie myśleli, babulu.

Obrócił się na pięcie.

— No i już — rzekł do przyjaciół i wszyscy trzej ruszyli z powrotem w górę.

A Marcinowa otworzyła zaciśniętą dłoń, świecił na niej nowiutki, srebrny pieniąż w oprawie wyschniętego soku jagodowego, na tle brunatnej, spracowanej dłoni.

— O Jezusie Nazareński! a to ci dobre chłopaki. Franek do doktora pójdzie. Są dobre ludzie na świecie! są!

Lekki już teraz koszyk, płachtą obwiązany, założyła na plecy i szybkim, drobnym krokiem szła na dół po stromej ścieżce.

M. Drohojowska

**Zima nadchodzi.
Tysiące ludzi jest
bez dachu,
bez odzieży,
bez jedzenia.
Ratujmy ich
od zimna i głodu.**

Cześć św. Stanisława Kostki w dawnej Polsce

zeństwo ku czci św. Stanisława. W Warszawie sam król z królową i całym dworem przewodniczył mu i uświetniał swą obecnością.

We Lwowie, którąkolwiek bramą wszedł kto do miasta, spotykał się z umieszczonym w bramie, z polecenia rady miejskiej, obrazem św. Stanisława. W bramie „krakowskiej“ tablica wotywna opisywała cudowne ugaszenie pożaru miasta. Przechodnia uderzał już z daleka wspaniały obraz Świętego, panującego nad Lwowem z wieży ratuszowej. W sali posiedzeń sądowych wisiał również piękny jego wizerunek z wiele znaczącym napisem: „Zbawca miasta“.

W uroczystych procesjach na cześć św. Stanisława brał rokrocznie udział cały magistrat, wskutek ślubu datującego z czasów wojen kozackich. W oktawę uroczystości, wypełniając znowu ten ślub, słuchał zawsze cały magistrat mszy wojennej w kaplicy Świętego.

W sali trybunalskiej w Lublinie jeden tylko wisiał obraz, a obraz ten przedstawiał Stanisława Kostkę „patrona swego, które mu żywot i zdrowie swe przypisuje“.

Nieprędko byśmy skończyli, chcąc opisać przemożny wpływ Kostki na moralny żywot narodu polskiego. Dość powiedzieć, że był to prawdziwy władca

(Dokończenie ze str. 744)

dusz, istny monarcha Polski, który z nieba kierował jej losami w najcięższych chwilach.

A dziś znowu jak za czasów Sobieskiego woła znękany naród polski: Kostko, ratuj! Oto nawiedziła kraj straszna zaraza: rodzina się rozpada, młodzież jest zagrożona, wroowie na granicy czyhają. I znowu stanęła postać Świętego żywa na oczach narodu. Najwyższe władze szkolne ogłosiły dzień jego świętem młodzieży polskiej. Oby zatriumfował dziś jak triumfował przed wiekami pod Chocimem, Przemyślem, Beresteczkiem i Lwowem!

Ludwik Posadzy

Objaśnienie obrazka frontowego

Na tle krzyża, znaku K.S.M.M. i promieni — postać Chrystusa. Może po raz pierwszy widzicie Go z heblem w dłoni, jako symbolem czyli znamiem rzemieślniczej pracy. Bo Chrystus był rzemieślnikiem, gdy Swemu Opiekunowi pomagał w ciesielskiej pracy, nim ruszył do innej, którą mu zleciła wola Ojca w niebieskich.

To rzemieślnicze znamie w rękach Chrystusa i ten znak poza krzyżem mają swoje głębokie znaczenie dla tych szeregów, które się garną do stóp Pańskich. To karne szeregi K.S.M.M., składające się w przeważnej liczbie z młodzieży rzemieślniczej, włociańskiej i robotniczej. Chrystus w dal sięgającym wzrokiem patrzy i na te

rzesze, które jeszcze do niego przyjdą i otwiera ramiona dla wszystkich pracujących i przyłoczonych ciężarem życia.

Oto Front Chrystusowy, ku Niemu zwrócony, pod Jego znakami pragnący pracować dla dobra dusz własnych, dla Kościoła i Ojczyzny.

Nad grobem przestępcy

Modlitwa Teresy Naumann z Konnersreuth.

W miejscowości Garsten (Austria) znajduje się cmentarz dla więźniów. Cmentarz ten jest bez żadnych ozdób i robi ponure wrażenie.

Na jednym z ubogich grobów znajduje się krzyż z surowego drzewa z następującym napisem:

„Teodor S....., um. dnia 1932 r.”

Mogłoby się zdarzyć, że ktoś ze zwiedzających zainteresowałby się tym grobem na opuszczonym cmentarzu. Wówczas zwróciłby się do dozorca więzienia z zapytaniem, kto w tym grobie spoczywa. Na zapytanie takie dozorca odpowiadałby z pewnością:

— Jest to grób starego nicponia i zawodowego włamywacza, który odsiedział prawie trzydzieści lat swego życia w ciężkich więzieniach całego kraju.

Odpowiedź taka zgadzałaby się w zupełności z prawdą. Jednakże, gdy wspomnę sobie śmierć tego zbrodniarza i jego opuszczony grób, natenczas ogarnia mnie głębokie wzruszenie.

Na imię było mu Teodor, co znaczy Dar Boży. Był zatwardziałym włamywaczem, który zapomniał od dawna o istnieniu Boga. Jednakże nazwanie go w ten sposób nie może mu już w życiu przyszkodzić.

W roku 1932 Teodor ciężko zachorował i leżał w szpitalu więziennym. Odwiedzając go, upominałem go bezustannie, żeby nawrócił się do Boga i przyjął ostatnie sakramenty. Na wszelkie moje starania odpowiadał mi drwinami i zupełną odmową.

— Niech się ksiądz nie trudzi, to na próżno — rzekł mi raz jeden z dozorców. — Po niego przyjdzie sam diabeł

Pewnego dnia odwiedził mnie ojciec karmelita, Angelus Moser. Był to bardzo zasłużony duszpasterz więzienia w Linzu i znany wśród więźniów ze swej wprost bezgranicznej dobroci. Poprosiłem więc ojca karmelitę, żeby zechciał się także zająć moim Teodorem i namówić go, aby wobec zbliżającej się śmierci pomyślał o wieczności i pojednał się z Bogiem. Jednakże wszelkie starania karmelity okazały się także daremne.

— Proszę ojca — rzekł zbrodniarz — mnie to tam nie jest potrzebne. Wcale nie jestem złym człowiekiem, a do nieba dostanę się też bez pomocy księdza.

Wobec takiego oświadczenia trudno było coś poradzić.

Czekałem na ojca karmelitę w korytarzu. Gdy wyszedł od chorego, rzekł:

— Sądzę, że tego zatwardziałego grzesznika nie da się nawrócić.

Byłem oczywiście tego samego zdania.

Nieraz przypadek decyduje o wszystkim, jak się miałem wkrótce przekonać. Kilka dni później odwiedziłem znajoma powieściopisarkę, panią baronową Henrykę Handel-Mazetti^{*)}. W toku rozmowy opowiedziałem jej o mojej zatwardziałej „owieczce”.

— Ależ, księżo kapelanie, Teodor S. musi się nawrócić — zawołała owa pani. — To poprostu niemożliwe, żeby miał umrzeć bez Boga!

Oświadczeniem tym byłem poprostu zaskoczony i patrzałem na baronową z nieukrywaniem zdumieniem.

— W jaki sposób chce pani go nawrócić? — zapytałem wreszcie.

Odpowiedź jej była taka prosta — pochodziła ze serca pełnego ufności i wiary bez granic:

— Napiszę jeszcze dziś do Teresy Neumann do Konnersreuth. Poproszę ją, żeby ofiarowała swoje cierpienia na intencję tego zoczyńcy, żeby Pan Bóg mu dał łaskę nawrócenia się przed śmiercią.

Okazanie tak głębokiej wiary wzruszyło mnie do głębi.

Stało się tak, jak uradziliśmy. Pani owa napisała do Konnersreuth i otrzymała wkrótce odpowiedź za pośrednictwem ks. Nabera: „Teresa Neumann modli się i ofiaruje swoje cierpienia na intencję umierającego zbrodniarza”.

Wkrótce potem jeden z dozorców przychodził mi uwiadomić, że Teodor S. prosi, żebym go odwiedził.

Przychodzę do niego i zastaję poprostu innego człowieka.

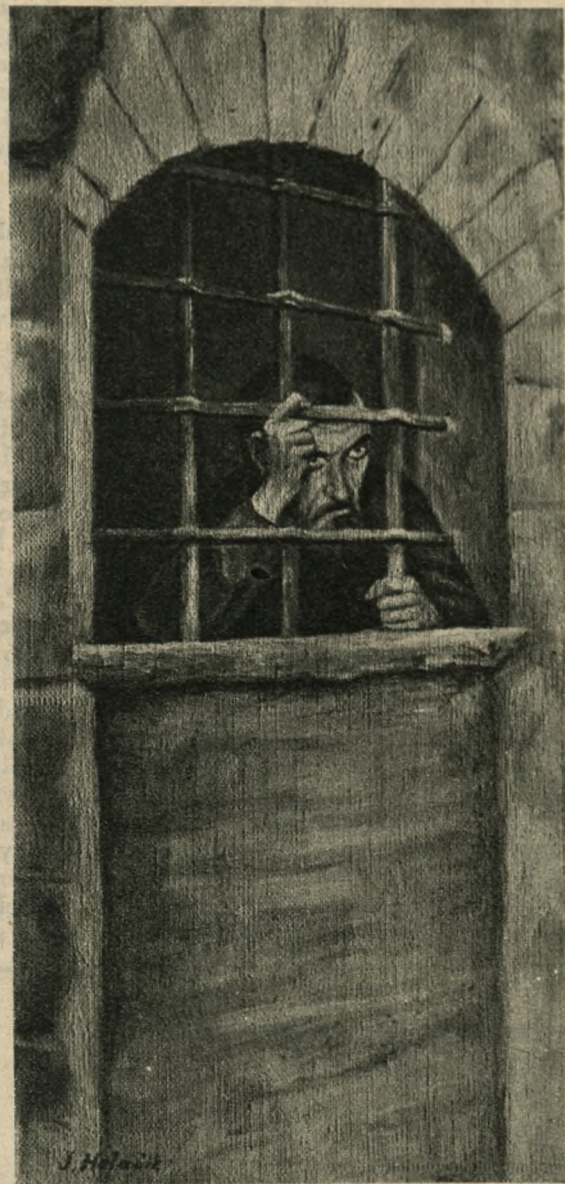
— Księżo kapelanie, ja sobie wszystko rozważyłem — rzekł do mnie chory zbrodniarz. — Będę żył tylko jeszcze krótki czas. Wiem, że byłem złym drabem, ale — — — byłem też nieszczęśliwym i jestem zupełnie sam na świecie! Chciałbym się wyspowiadać i umrzeć po chrześcijańsku.

Ze wzruszenia miałem łzy w oczach. Wyspowiadał się z całego swojego życia. Potem przynosiłem Najświętszy Sakrament. W chwili, gdy przyjmował

^{*)} Słynna, żyjąca jeszcze, katolicka powieściopisarka, mieszkająca w Austrii. Ona to własnym kosztem wydała „Wspomnienia więzienne” długoletniego kapelana więziennego Leopolda Arthofera, autora umieszczonego tu opowiadania.

Pana Boga, w oczach jego nagle zajaśniał błogi, nadziemski spokój. Krzyż, który mu dałem, trzymał ciągle w ręku i podnosił często do ust, całując go z czcią. Teodor był w tej chwili rzeczywiście „Darem Bożym”.

Powyższe wydarzenie jest moim najmiłszym wspomnieniem w dniu zadusznym.



— Ja sobie wszystko rozważyłem...

Jezus Chrystus przebaczył łotrowi na krzyżu. Miłosierdzie Boże jest wielkie, zwłaszcza dla tych, którzy się nawrócą.

Ks. Leopold Arthofer
kapelan więzienia
w Garsten.



Jako żadne zwierzę o jednej nodze nie chodzi, żaden ptak o jednym skrzydle nie lata, tak bez jałmużny żadna cnota smaku nie ma... Skarga.

BOLSZEWICKI NUMER „PŁOMYKA“ PRZED SĄDEM

„Płomyk“ to pismo dla młodzieży szkolnej, wydawane przez Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Wydanie 25 numeru tego pisma stało się powodem artykułu, ogłoszonego w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym* p. t. **Szaleństwo czy zbrodnia**. Artykuł ten w słowach silnych i stanowczych wystąpił przeciwko o numeru 25 numerowi „Płomyka“ jako zawierającemu „propagandę zatrująca dusze dzieci polskich obcą i wrogą Polsce kulturą“. Ciężki ten zarzut opierał się na dwóch artykułach, pomieszczonych w owym numerze Płomyka a mianowicie na gorącej pochwalie sowieckiego teatru dla dzieci i na liście „pioniera“ sowieckiego, zawierającym same pochwały dla stosunków sowieckich.

Alarm podniesiony przez I. K. C. wywołał poruszenie w całej Polsce, zwłaszcza w kołach rodzicielskich. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych skonfiskowało ten numer, a poseł Hutten Czapski złożył w Sejmie interpelację i zwrócił się w tej sprawie do Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. Płomyk i jego wydawcy stanęli pod sądem opinii polskiej, gorszącej się zachwalaniem sowieckich stosunków wśród diatwy szkolnej w Państwie Polskim, które przecież ściaga wywrotową komunistyczną działalność.

Związek Nauczycielstwa bronił się ogłaszającymi w prasie artykułami a prócz tego wniosli skargę sądową przeciwko odpowiedzialnemu redaktorowi I. K. C. p. **Stankiewiczowi** panowie: **Jan Kolanko**, prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego, **Stanisław Machowski**, wiceprezes i **Mieczysław Kotarbiński** jako redaktor „Płomyka“.

Rozprawy toczyły się przed Sądem Okręgowym w Warszawie od dnia 29 października b. r. Wyrok zapadł 4 listopada.

Nie możemy tu podawać szczegółów procesu. Zaznaczymy tylko, że po stronie skarżących zeznawali między innymi tacy świadkowie jak prezes Polskiej Akademii Literatury i znany pisarz **Wacław Sieroszewski** i **Wincenty Rzy-**

mowski, redaktor Kuriera Porannego i członek Polskiej Akademii Literatury, który brał udział w zjeździe literackim we Lwowie, gdzie tak żywe objawiono uczucia dla komunistycznych haseł. Świadkowie ci nie dopatrywali się niczego złego w owym 25 numerze Płomyka.

Inny natomiast sąd o tym numerze wydali tacy świadkowie strony oskarżonej jak dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej ks. prałat **Kaczyński** i kierownik Instytutu Badania Komunizmu ks. prałat **Kwiatkowski**. Ks. prałat Kaczyński oświadczył wyraźnie, że uważa wydanie „Płomyka“ sowieckiego za szkodliwą propagandę, a ks. prałat Kwiatkowski wyjaśnił, że uchwała VII Kongresu Kominternu „nakazuje przemycanie agitatorów“; oświadczył też, że „najważniejszym dowodem tej agitacji jest sowiecki numer „Płomyka“. Wielkie wrażenie na sali sądowej zrobiło wyjaśnienie świadka, p. prokuratora do spraw politycznych **Szypuły**, że **Komitet Centralny Komunistycznego Związku Młodzieży** przesłał swym komitetom okręgowym i dzielnicowym do omówienia projekt deklaracji młodego pokolenia w związku z uchwałą VII Kongresu Kominternu i że pod tym projektem podpisana jest p. **Wanda Wasilewska**. Następny zaś świadek p. **Madej**, były redaktor „Małego Płomyczka“, wyjaśnił, że „nominalnie redaktorami „Płomyka“ byli pp. **Kotarbiński** i **Kolanko**, faktycznie jednak układała i łamała numer p. **Wanda Wasilewska**. A więc ta sama, która podpisała projekt wspomnianej deklaracji.

Po przewodzie sądowym i przemówieniach obrońców obu stron Sąd po naradzie ogłosił wyrok uniewinniający redaktora odpowiedzialnego **I. K. C. p. Stankiewicza**.

Tym uniewinnieniem Sąd stwierdził, że zarzut propagandy sowieckiej, uczyniony 25 numerowi „Płomyka“, był słuszny. Sąd stanął na stanowisku, że „jeżeli podaje się rzeczy tylko przyjemne, a omija się nieprzyjemne, to —

zdaniami sądu — zarzut uprawiania propagandy postawiony przez I. K. C. był zupełnie obiektywnie postawiony“ (t. zn. opierał się na faktach), gdyż ów numer „Płomyka“ „przedstawiał Sowietów w niezmiernie korzystnym świetle“, „a rzeczywistość odbiega jednak daleko od tego obrazu i mówi o wielu tysiącach dzieci głodnych, walczących się po ulicach i tysiącach dzieci rozstrzelanych“. Lepiej więc było całą sprawę zupełnie pominąć niż przedstawiać ją dzieciom fałszywie. Sąd zwrócił też uwagę zarówno na szarady w „Płomyku“, których rozwiązanie dawało nazwisko „wodza rewolucji bolszewickiej“, jak i na numer 24-ty „Płomyka“, w którym na stronie tytułowej dano obrazek p. t. „Robotnicy“. Obrazek ten przedstawiał robotników z ponurymi i groźnymi twarzami.

Te fakty i oświadczenia redaktora „Płomyka“, że treść tego pisma układa się z góry na cały rok, nasunęły Sądowi myśl, „że wszystko to było celową raczej niż przypadkową propagandą“.

Taki przebieg miał ten głośny na całą Polskę proces o bolszewicką propagandę wśród dzieci szkolnych. Nie Związek Nauczycielstwa Polskiego jako całość t. j. jako zespół kilkudziesięciu tysięcy nauczycieli jest tu winien. Winowajcami są jego przewodcy, pod których kierownictwem Związek w różnych swoich oświadczeniach i czynach — zeszedł na drogi i sposoby postępowania, w którymi na pewno nie godzi się olbrzymia część jego członków. Może ten smutny proces, przegrany w pierwszej instancji, doprowadzi do zmiany tego postępowania. Może wreszcie zdrowo myślący członkowie Związku będą umieli działalności jego nadać taki kierunek, któryby nie musiał wywoływać tak częstych obecnie sprzeciwów katolickiego społeczeństwa, mającego religijny obowiązek dbania o katolickie wychowania dzieci w szkole. Takiej zmiany życzymy szczerze Związkowi w interesie jego dobra i dobra szkoły polskiej.

ZE ŚWIATA

Zgon zasłużonej zakonnicy

W dniu 27 października b. r. w Słonimie po dłuższej ciężkiej chorobie zesza z tego świata, mając lat 65 życia, **S. Maria Monika Sopoćko**, niepokalanka.

S. p. Siostra Maria Monika położyła wielkie zasługi na polu oświaty polskiej i działalności wychowawczej. Była pierwszą kierowniczką szkoły polskiej w Słonimie i długoletnią dyrektorką żeńskiego seminarium nauczycielskiego przy klasztorze SS. Niepokalanek. Znaną też była ze swego pióra, którego umiejętnie używała w poezji i prozie. Jako działaczka niepodległościowa, społeczna i literatka odznaczona była Złotym Krzyżem Zasługi.

S. p. Siostra Maria Monika była niemal do ostatnich lat swego życia gorliwą współpracowniczką Przewodni-



Kościół parafialny pod wezw. św. Józefa w Osiechu n/Not. (Pozn.)

przebudowany w r. 1936 z dawniejszej szkoły pruskiej dzięki wspaniałomyślności Ks. Biskupa Laubitz'a oraz dzięki gorliwym zabiegom parafian osieckich z Ks. prob. F. Skrzypińskim i Komitetem Budowy Kościoła na czele. Do serc ofiarnych apelujemy o skromną chociażby pomoc. Łaskawe ofiary przesyłać prosimy pod adresem: Komitet Budowy Kościoła, Osiek nad Notecią, pow. Wyrzysk (Pozn.).

ka Katolickiego i ogłaszała w nim swoje nowele, opowiadania, poezje i tłumaczenia pod przybranym imieniem „Jawnuty“. Gorący duch religijny, głębokość uczucia i piękny staranny język były cechą tych utworów.

Głębokim przejęci zalem po śmierci wysoko cenionej współpracownicy przesyłamy Czcigodnemu Zgromadzeniu SS. Niepokalanek wyrazy głębokiego współczucia a Boga prosimy o niebieską nagrodę dla bardzo utrudzonej, tak zasłużonej a tak cichej i pokornej pracownicy.

Pod gmach Seminarium Zagranicznego w Poznaniu.

Ks. Kardynał Prymas Hlond poświęcił kamień węgielny 24. X. b. r. W gmachu tym alumni Towarzystwa Chrystusowego dla wychodźców odbywać będą dalsze studia teologiczne.

ADWOKAT MĄCZEK

4)

Czekała go z widocznym wzburzeniem. Odesłała dziecko do Balbisi i zwróciła się do Mączka drżącym głosem:

— Bolku, czyś ty czytał tę książkę?

— Nie, wujenko, nie miałem czasu. Nie rozwijałem jej nawet. Gdy w sklepie ujrzałem widniejące nazwisko Staszka na tej pracy, ucieszyłem się szczerze i zaraz poleciłem doręczyć ją cioci.

— Ucieszyłeś się!.. Ach Boże! Żebyś był choć jedną stronę przeczytał, nie byłbyś się ucieszył. Wierzyć oczom nie chciałam, aby to Staszek mógł napisać. To same bluźnierstwa! Staszek już w nic nie wierzy! Ani w Boga, ani w Kościół! Jak on mógł coś podobnego pomyśleć! a cóż dopiero napisać! Niedobre ma serce! Niedobry umysł! Odmienili go w tych uniwersytetach!

Mączek czekał na ten zwrot i wypytując się, niby uniewinniając Staszka, opowiadał, jak to młodzi zmieniają się pod złym wpływem, jak tracą wiarę, zapominają o rodzicach i wychowawcach...

Staruszka słuchała, a gorzkie łzy ciekły jej po policzkach. Krótki oddech przerywały westchnienia: Boże! Boże! czy ja myślałam, że tego dożyję... żeby mój Staszek, moje dobre dziecko o wszystkim świętym zapomniał i stał się takim przewrotnym...

Mączek przewracał kartki znanej sobie książki i udawał zdziwienie.

— Widzę z tych rozdziałów, że Staszek zamierza szerzyć swe poglądy. Kiedyś może tu w wujenki domu założy szkołę bezwyznaniową, bo pisze o braku tego rodzaju uczelni u nas, i twierdzi, że obowiązkiem jest prawdziwych krzewicieli oświaty zakładać takie ogniska wiedzy.

— Bolku, co ty mówisz! w moim domu Staszek miałby dzieci od Kościoła odrywać?! Uczyć je Bogu bluźnić! O nie, ja na to nie pozwolę! Pod moim dachem nie robi tego, stąd nie będzie się szerzyło zgorzenie!

Mączek stawał niby w obronie Staszka, ale w każdym zdaniu podsuwał nową groźbę.

— Może się ożeni, to zmienia człowieka — pocieszał ciotkę. — Co prawda w kołach, w których się obecnie obraca, napotyka na studentki z równie przewrotnymi pojęciami. Te uczone kobiety biorą cywilne śluby i dzieci nie chrzczą, o czym nawet tu pisze w swej książce. O, widzi ciocia — w tym rozdziale.

Mączek wynalazł ustęp i czytał go biednej staruszce: „Dać dziecku wolny wybór wierzeń, nie przeznaczać go od urodzenia do zabobonu i niewoli”. — Rzeczywiście potworne pojęcia! Może Staszek otrząśnie się z tego obłędu...

— Żona bez ślubu, nie chrzczone dzieci! I to miałby mój Staszek pod mój dach wprowadzać?! O nie, nie, na to nie pozwolę!

— Rozumiem teraz, dlaczego Staszek wujenke nie posłał tej książki. Nie

Powieść

chciał ciotki martwić i postradać jej serca...

— W listach pisał, że książki nie rozumie, że nie dla mnie. Dla nikogo ona, kto ma Boga w sercu! Dobrze, że jego ojciec tego nie dożył! Jakby on cierpiał nad odstępstwem syna!..

— Jego ojciec był zacny człowiek, ale nieogłębny. On go naraził na utratę wiary pchaniem go na tę naukową drogę... Ja z moim Rysiem inaczej postąpię. Będę czuwał, będę pilnował, nie puszcze młodego w obcy i zepsuty świat.

— Tak — przytwardziła biedna pani Teresa. — Tyś jest rozsądny, lepiej znasz życie, dbasz o dziecko. Szwagier dziwny miał umysł; niby to mądry człowiek, a nic wkóło siebie nie widział, tylko te książki... O, ty nie zmarnujesz Rysia, jak on zmarnował Staszka — wzdychała pani Teresa.

Mączkowi właśnie chodziło o wywołanie tych myśli u wujenki, o skierowanie jej uczuć już tylko wyłącznie na Rysia i siebie.

Wieczorem pani Teresa z żalu i zgryzoty dostała bicia serca, całą noc nie zmużyła oczu. Bolesne rozważania trapiły ją bezustanku. Przewrotne zdania wyczytane w książce i sprytnie podsunięte uwagi Mączka kotłowały w jej biednym zmęczonym umyśle. Ani na chwilę nie podejrzewała podstępu.

Utkwiło tylko w pamięci: Staszek z bezbożną żoną pod jej dachem, niechrzczone dzieci w jej ogródku!.. Szkoła bezwyznaniowa!.. Nie, na to pozwolić nie może.

Niedomagania serca nasuwały myśl o śmierci. Musi coś postanowić. Nie odda w bezbożne ręce swej własności.

Rysia dobrze chowają rodzice, on nie pójdzie na manowce. Niechże on odziedziczy po niej ten skrawek ziemi

Zaledwie zaczęło widnieć, pani Teresa zawsze szybka w czynie, zerwała się z pościeli. Nie mogła już wyleżeć dłużej — ruch i działanie ulży skołataniej głowie.

Zbliżyła się do biurka, otwierała szuflady i przerzucała przeróżne papiery, aż natrafiła na dużą kopertę, na której widniał napis: „Mój testament”. Rozzerwała pieczęcie i poczęła czytać.

W czasie czytania okulary zachodziły mgłą. Wypieki zabarwiły policzki.

— Tak go kochałam!.. Tyle nadziei w nim pokładałam!.. A on z dobrego dziecka wyrósł na wroga Kościoła. Na bezbożnika. Nie dopomogę mu w jego złych zamiarach. Nie wolno mi tego czynić.

Namyślała się chwilę, naraz nerwowym ruchem podarła trzymany arkusz papieru.

— Trzeba inny napisać. Gdybym zeszała ze świata bez testamentu, moja własność przeszłaby prawnie na Staszka, jako najbliższego krewnego — westchnęła i poczęła kreślić trzęsącą się ręką nowy testament. Męczył ją ten wysiłek. Lecz przymuszała się z choro-

bliwym pośpiechem do tej pracy, jakby już stała obok niej śmierć i każdej chwili mogła przerwać zamiar.

— Napiszę krótko — szeptała do siebie. — Mączek mówił, iż im więcej testamencie, tym prawnie lepszy. Potem napiszę list do Staszka tłumacząc, dlaczego tak postanowiłam.

Układanie ostatniej woli trwało jednak długo. Wreszcie wyczerpana testatorka ukończyła bolesne zajęcie, nie zakleiła jednak dokumentu, chcąc go przeczytać Mączkowi.

Ranek włókł się powoli do zwykłej godziny odwiedzin Rysia. Tym razem nie matka jak zazwyczaj, ale ojciec zjawił się z malcem.

Dzień był pochmurny, nie w ogrodzie więc lecz w saloniku pani Teresa przyjęła swych codziennych gości.

Z bolesnym wylaniem upieściła Rysia, szepcząc rodzaj życzeń czy błogosławieństw nad ruchliwą główką dziecka:

— Ty pójdiesz dobrą drogą, nie wyprzesz się wiary świętej. Niech cię Najświętsza Panna ma w swojej opiece!..

Po czym poleciła ojcu wyprowadzić malca do Balbisi, aby móc swobodnie pomówić chwilę z nim samym.

Podczas gdy Mączek kierował się ku kuchni, pani Teresa zasiadła przy biurku i próbowała odczytać swą ostatnią wolę, lecz łzy tak przemożnie napływały do oczu, iż nie mogła własnego pisma dojrzeć.

— Czym wujenke mogę służyć — zadzwieczał koło niej głos Mączka, a bystre jego spojrzenie już przez ramię schylone nad dokumentem kobiety przebiegało chciwie pismo.

— Przeczytaj to, Bolku, i powiedz, czy dobrze napisane i czy nie da powodu do procesu.

Mączek zasiadł w fotelu naprzeciw staruszki i zabrał się ze skupieniem do odczytywania mozolnie wypracowanej pisaniny.

Splowiałe oczy testatorki z napięciem śledziły wyraz adwokata. Jak przed chwilą nie były w stanie dojrzeć liter, tak obecnie nie przenikały ukrytych myśli, ani krętych zamiarów przebiegłego doradcy.

Przywykły do panowania nad sobą Mączek nie zdradził się żadnym przeblaskiem radosnego triumfu. Podstęp udał się znakomicie, rychlej, niż przypuszczał. Chodziło jeszcze, aby przy obecnej rozmowie nadać słowom szlachetne pozory.

— Prawniczo jest doskonale napisane — zabrzmiał spokojny głos Mączka. — Ośmielę się jednak zwrócić uwagę wujenke, iż może zbyt pośpiesznie przekreśla ze spadku rodzzonego siostrzeńca. Staszek prawdopodobnie użyłby majątku na cele przeciwne zasadom ciotki, ale jednak jest najbliższym krewnym.

— Bliskość pokrewieństwa nic tu nie znaczy — wybuchnęła z płaczem sta-

ruszka. — Nie chcę mu w złym pomagać moim majątkiem...

— No pewno... pewno... Ja jestem w bardzo dwuznacznym położeniu, będąc ojcem dziedzica i doradcą testatorki... Powstaną podejrzenia, iż namówiłem wujenkę... Przykra jest mi ta sprawa. Może wujenka wezwie notariusza obcego i w jego ręce złoży testament,

— To mogę zrobić.

— Radziłbym nie wtajemniczać notariusza w powody swego rozporządzenia. Gdyż po co rozpowiadać bolesny zawód. Każdy ma prawo rozporządzać majątkiem według swego uznania. W tym wypadku dobrze będzie złożyć w obojętnych rękach dokument ze spokojem, bez komentarzy, a nie przechowywać go u siebie, i nie oddawać go mnie, aby uniknąć podejrzeń, iż sporządzony został pod naciskiem, namową, lub w chwili podniecenia.

— Masz słuszność. Testament w moim biurku mógłby zaginać. U ciebie złożyłoby wzbudzałyby podejrzenia, może dałby powód do procesów. A tak przyslesz mi notariusza, oddam mu testament i koniec. Nikt nie ma nic do gadania. Napiszę tylko do Staszka obszerny list.

— A gdzie wujenka zaadresuje?

— Obecnie nie bardzo wiem, gdzie; ciągle zmienia miejsce pobytu. I te obecne nazwy miejscowości takie trudne do odczytania.

— Niech ciocia list napisze, ja zaadresuję i wysłę.

Mączek opuszczał dworek uradowany obrotem sprawy. Odsuwał trapiące go myśli i niepewności z wyzywającą wiarą w swój spryt.

— Trzy lata — powiadał sobie. — Dam radę zawojować babinę do reszty,

nie dopuszczę do widzenia się ze Staszkiem. A zresztą nie będzie miała testamentu w ręku, nie podrze go więc, a nie tak łatwo jej przyjdzie za parę lat napisać inny.

Rozdział IV

Bolesny powrót

Lata mijaly. Pani Teresa otaczana przebiegłą opieką Mączka i zniedołężniała wiekiem coraz rzadziej wspominała Staszka. Pierwsze rozżalenie zamieniło się z czasem w niechętnie zobojętnienie. List pisany do niego, a powierzony Mączkowi, nie doszedł nigdy adresata, gdyż nie został, rzecz prosta, wysłany.

Nadchodzące listy i kartki od siostrzeńca gniewały ją i nie odpowiadała na nie.

Rys swym dziecięcym urokiem przyczyniał się bezwiednie do planów ojca, zagarniał niepodzielnie serce ciotki. Pani Helena, również nieświadoma całego dostępu męża, pozyskała sobie staruszkę szczerą troskliwością i urokiem dobroci.

Dnie w dworku płynęły spokojnie, lecz siły i zdrowie staruszki słabły z każdym rokiem. Marzec, ten groźny miesiąc dla starych, nie oszczędził i pani Teresy. Zapadła na grype, gorączka osłabiła znacznie serce i doktor uważał, iż stan zdrowia jest nieszczygólny.

Równocześnie z tym zasłabnięciem pani Teresy Rys dostał szkarlatyny. Oboje rodzice przejęci chorobą jedynaka, rzadko odwiedzali wujenkę, przesyłając jej tylko wiadomości o sobie i dowiadując się o nią.

Mączek, przerażony możliwością utraty ubóstwianego dziecka, spędzał wszystkie wolne chwile przy jego łóżeczku.

Zwoływał doktorów i nie był w stanie o niczym myśleć, poza straszną groźbą utraty synka.

Trawiony wyrzutami sumienia, iż z nadmiernej miłości do Rysia skrzywdził niewinnego Staszka, po prostu wyczuwał karę Bożą nad sobą i truchlał na myśl, iż ona dosięgnie go w ukończonym ponad wszystko dziecku.

Chodził jak błędny, zrozpaczony i pół przytomny.

W tym to czasie Staszek powracał do kraju i do rodzinnego miasta.

Nie wiedząc o zmianach, zaszytych w dworku ciotki, zaraz z rana po przyjeździe wybrał się do niej.

Mijał dobrze znane sobie ulice. Rzewne i drogie wspomnienia witały go z każdego zakrętu drogi. Przed oczami pamięci widział ojca i siebie, gdy był studentem. Uśmiechnął się do gmachu gimnazjum, jak do starego przyjaciela, i przyspieszał mimowolnie kroku jak za dawnych lat, gdy biegł na przerwę do ciotki.

Już skrzypi piasek znanej ścieżki, już bieli się drogi domek. Zamknięte drzwi frontowe, tak zwykle bywało, ale wie przecie, jak się do wnętrza dostać przez kuchnię.

Balbisia stoi nad białym stołem i miesza coś zawzięcie drewnianą łyżką. Na skrzyp drzwi zwraca swą pocziwą rumianą twarz i na widok obcego przybysza już otwiera usta z mało uprzejmym pytaniem, gdy nagle łyżka wypadła jej z rąk, a z gardła wyrwa się radosny okrzyk:

— Staszek! Pan Staszek! O Boże!

Staszek jak dawniej chwyta jej potężne ramiona w swe wyciągnięte ręce, obraca nią pół zwrotem i przygląda się jej z czułą radością. (Ciąg dalszy nastąpi)

KOSTUCHA CZY KOSTUSIA?

Piękny pogrzeb czy piękna śmierć!

Listopad jest to miesiąc, w którym rozmyślamy o śmierci i życiu przyszłym, o duszach czyścicowych i znikomości rzeczy ziemskich. Czujemy niejako, jak pani Kostucha chwyta nas chudą ręką za kark, a ostra jej kosa kosi żywoty ludzkie, jak żniwiarz dojrzale łany zboża.

Istnieją jednak ludzie, którzy nie boją się śmierci. W oczach ich groźna Kostucha zamienia się na dobrą i pogodną Kostusią, która człowieka życiem umęczonego bierze za rękę i prowadzi bezpiecznie na wieczny odpoczynek.

Oto przykład życia. W ubogiej wiejskiej chacie dogorywa staruszek. Choruje na zapalenie płuc, ma wysoką gorączkę, serce goni już ostatkiem sił. Wchodzi żona, także staruszka, siada przy łóżku i pyta:

— No, stary, jakże to, czy myślisz umierać?

Chory medytuje, medytuje, potem odpowiada urywanym głosem:

— Wiesz, matka, ja się jeszcze namyślam, co zrobię. (Zupełnie tak, jakoby to zależało od niego).

— Skoro tak — mówi staruszka —

to ci jeszcze ugotuję gęstej grochówki z kapustą, bo wiem, że lubisz.

— Pewnie, że lubię — odparł — polykając z trudem ślinę.

Krótko potem umarł. Czy umarł sam, czy też od grochówki, tego już nie wiem. Wiem jednak, że dla tych prostych, poczciwych ludzi śmierć nie miała w sobie zgoła nic strasznego. Przyświecała im bowiem stara mądrość Salomonowa: Jest czas działania i czas odpoczywania, czas wesela i czas smutku, czas rodzenia i czas umierania. Nadszedł czas umierania, więc niech się dzieje wola Boska.

A oto drugi przykład, smutniejszy. Umiera gospodyni wiejska, zostawiając mężowi kilkoro dzieci jeszcze nie odchowanych. Dzień przed śmiercią przywołuje męża i takie mu daje polecenie:

— Słuchaj, Wotku, dzieciom będzie potrzeba matki, a gospodarstwu gospodyni.

— Pewnie, kobieto, pewnie; co ja biedny pocznę bez ciebie?

— Nie lamentuj, tylko słuchaj. Nie będziesz długo czekał, tylko ożenisz się z Marychą od sąsiadów. Jest pracowni i pobożna i dzieciom nie uczyni krzywdy.

— No, no — wzdychał Wojciech.

— A teraz bierz miarę na trumnę i na trzewiki, ale tanie, bo przecie nie będę w nich chodziła. Jedziesz dziś do miasta, to za jednym razem wszystko załatwisz. A pilnuj krowy, co się ma ocielić. A dzieciom nie czyni krzywdy, bo...

I spojrziała groźnie na męża.

— Nie, nie, kobieto — odparł szybko Wojciech — nie będą miały krzywdy.

— No, to dobrze; a o duszy mojej też pamiętaj.

— A jakże, kobieto, a jakże...

Skąd się też ludziom bierze taki spokój w obliczu śmierci? Zdaje mi się, że dwie są tego przyczyny: bieda i wiara. Kto mieszka w bogatych, wspaniałych pałacach, temu zapewne nie łatwo przenieść się do ciemnego grobu. Łatwiej za to biedakowi pójść na drugi świat, zamienić nędzne łachmany na skrzydła anielskie, a ciemną chatę lub wilgotną norę na przybytek światła wiekuistego. Ale na to trzeba mieć wiarę, mocną wiarę w Boga i wieczność; trzeba mieć nadzieję w sprawiedliwość i dobroć Bożą, nadzieję prostą i dziecięcą. To wszystko można spotkać u

Starsze społeczeństwo nawet nie dostrzega, że dziś na oczach nas wszystkich dorasta najniezwyklejsze z pokoleń w dziejach Polski, pokolenie, które w życie wchodzi bez nadziei, dla którego przy dzisiejszym układzie stosunków społecznych nie ma miejsca w życiu. Młody chłopiec czy dziewczyna — po opuszczeniu szkoły powszechnej, czy chce czy nie chce, powiększa zastęp bezrobotnych.

W Polsce w najbliższych 3 latach około milion 620 tysięcy młodzieży pozaszkolnej znajdzie się w poszukiwaniu pracy, której nie ma...

Póki ta młodzież jest w szkole, posiada jaką taką opiekę. Skoro jednak te wielotysięczne rzesze szkół opuszczają, kóż jest dalej będzie wychowywał? Ulica i opłotki! Nie potrzeba tu nawet powoływać się na Rosję sowiecką, która swego czasu musiała czynić obławę i wystrzeliwała nieszczęśliwych wychowanków ulicy tysiącami, jak psy bezpańskie, aby wykazać, czym jest takie wychowanie dla społeczeństwa.

Dlaczego — pytamy — komunizm ma tylu i tak nieraz ofiarnych zwolenników? Przecież w gruncie rzeczy niczego swym wyznawcom nie daje!

Oto my katolicy musimy uderzyć się w piersi i przyznać do wielkiej winy. Za mało dbamy o młodzież i zapewnienie jej przyszłości! Za mało wysił-

ku zużywamy ku temu, by młodzieży naszej dać pracę i chleb do ręki. Musimy tak postępować, czy to w życiu prywatnym, czy publicznym, by nawet nie mogły „na Kościół paść fałszywe pozory i fałszywe podejrzenia, jakoby był obrońcą bogatych, a obojętnie patrzył na nędzę i cierpienie wydziedziczonych”.

Temi słowami z wielkiej encykliki o sprawiedliwości społecznej „Quadragesimo anno” stwierdza Papież Pius XI ogromną winę katolików, którzy swym postępowaniem doprowadzili do tego, że tylu ludzi poszło na lep fałszywych proroków. Toć my dopuściliśmy do tego, aby socjaliści i komuniści tylko sobie przyznawali prawo i zasługę domagania się sprawiedliwości społecznej. Czynią to oczywiście tak, jak oni ją pojmują, a nie, jak nakazuje duch Chrystusowy.

Starajmy się tedy o sprawiedliwość, o nowy, chrześcijański ustrój, bo oto co mówi ten sam Papież Pius XI:

„do ogromnych rozmiarów wzrosła liczba proletariuszy, których nędza wola z ziemi do Boga. Do tego jeszcze dołącza się olbrzymia rzesza robotników rolnych, zepchniętych na najniższy poziom życia i pozbawionych wszelkich nadziei doświadczenia kiedys do kawałka ziemi, i dlatego na wieczny skazanych proletaryzm, o ile nie wejdzie się na drogę celowych i skutecznych reform” (Pius XI. „Quadr. anno”).

Do tej walki o nowy porządek musimy wciągnąć właśnie także młodzież naszą. Dajmy jej rzecz najcenniejszą

dla młodego człowieka: poczucie wartości i nadzieję.

Wskażmy jej Chrystusa — Robotnika, Chrystusa Sprawiedliwego, wyciągającego ku niej ręce i szukającego wśród nich armii, która pod jego przewodem wywalczy inne, lepsze jutro.

W Polsce armia ta nosi nazwę KSMM i KSMŻ: Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. 15-go listopada jest właśnie święto młodzieży męskiej, pragnącej walczyć o ideały sprawiedliwości społecznej.

W dniu tym 160.000 młodych bojowców Chrystusa Sprawiedliwego — jak Polska długa i szeroka, ukorzy się u stóp swego Wodza, Chrystusa Robotnika, umacniając się do walki chlebem anielskim.

Katolickiej młodzieży pozaszkolnej mamy w Polsce około 8 milionów. W tej liczbie młodzieży zorganizowanej wogóle jest jakichś 700.000. KSMM liczy 160.000 członków. Zatem młodzieży, którą się nikt nie zajmuje, jest w Polsce około 7 milionów. Po młodzież tę wyciągają się dziś drapieżne ręce wrogów Państwa i Kościoła, bo młodzież jest przyszłością każdego ruchu. Chwila to decydująca. Młode pokolenie pójdzie za nami, bo jest katolickie, ale trzeba mu wskazać cel istnienia, trzeba mu szare życie ozłocić nadzieją i pokazać rąbek lepszej przyszłości. Jan Tokarski

Nowe książki

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha

Ks. Paweł de Jaegher, T. J. Jedno z Jezusem. Autoryzowany przekład z francuskiego z przedmową O. A. Rozwadowskiego, J. T. Stron 136. Cena 1 zł

ludu naszego; dlatego lud nasz często zgola nie lęka się śmierci; nie jest ona dla niego srogą Kostuchą, lecz pogodną Kostusią.

Ale niestety żyją wśród nas inni ludzie, którzy nie troszczą się o dobrą śmierć i szczęśliwą wieczność, lecz przede wszystkim o — wspaniały pogrzeb.

Nieraz już czytaliśmy w gazetach o przedwczesnej i niespodzianej śmierci jakiegoś ministra, generała, polityka czy literata — u nas w Polsce lub też w Europie. Bywało, że taki mąż, dopóki żył, mało dbał o Kościół i religię, owszem nieraz kpł sobie z wiary i Kościoła, miał dwie lub trzy żony, nie uznawał ani pacierza ani sakramentów św. Skoro jednak taki mąż zamknął oczy, mniej lub więcej nagle, wtedy porusza się wszystkie sprężyny, aby urządzić mu wspaniały pogrzeb kościelny z nabożeństwem i duchowieństwem, z dzwonami i sztandarami.

O, nieraz już otrzymałem listy od miłych czytelników, którzy gorszyli się srodze tymi sprawami i żądali ode mnie wytłumaczenia, jako że pisuję do „Przewodnika”, więc powinienem posiadać wszelkie rozumy. A ja znowu takich wiadomości teologicznych nie posiadam, bo skądże; ale znam zacnego i mądrego kapłana, który mi w takich razach chętną służy radą.

50 gr. Piękna ta książeczka należy do działu mistyki. Celem jej ułatwić człowiekowi przejście z okresu poufnego stosunku z Jezusem do utožsamienia z Nim w myśl nauki duchowej św. Pawła.

Krystyna Saryusz-Zaleska, Karol de Foucauld, apostoł Sahary. Stron 126. Cena 2 zł. Pięknie opowiedziana historia

Ten oto kapłan takie mi dał objaśnienie:

Kościół nikogo nie potępia. Jeżeli komu odmawia pogrzebu kościelnego, to dlatego, że nie chce narzucać się ludziom, którzy sami odsunęli się od Kościoła; i dlatego, aby dać przestrożę żyjącym. Z tej oto przyczyny odmawia się pogrzebu kościelnemu publicznie znanym odstępcom i masonom, wyrażnym samobójcom, zabitym w pojedynku, publicznym grzesznikom itd. Ale podobnie jak Pan Jezus przebaczył łotrowi na krzyżu, tak i Kościół jest matką dobrotliwą nawet dla wielkich grzeszników; jeżeli więc przed śmiercią w jakikolwiek sposób okazali skruchę, nie odmawia im pogrzebu. Być może, że w niektórych przypadkach okazano zbyt wielką pobłażliwość; ale czyż nie lepiej pobłdzić nadmiarem dobroci niż nadmiarem surowości? Oczywiście, w sprawach tych należy się równa miara wszystkim: wielkim i małym, moźnym tego świata i szaremu robotnikowi.

Dla prawego katolika jednak najważniejszą rzeczą nie jest piękny pogrzeb, lecz piękna śmierć.

Otóż przed kilku dniami czytałem w nowym podręczniku szkolnym dla nauki religii o pewnym braciszku zakonnym, który był już blisko śmierci. Mimo to był sobie wesoly jak szczygiel, zu-

pełnie tak, jakoby szedł na wesele, a nie na śmierć. Rzecz tym dziwniejsza, że braciszek na ogół nie odznaczał się zbytnią pobożnością i gorliwością. Bracia zakonni, niespokojni o jego duszę, przywołali przeora.

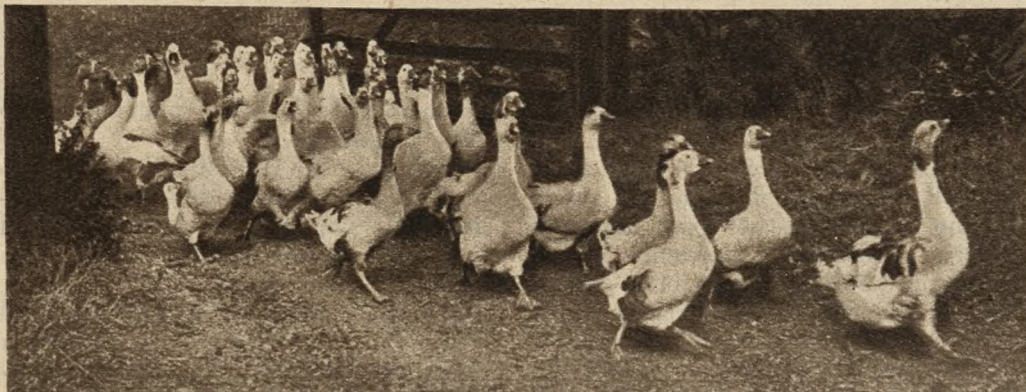
— Bracie — rzekł przeor — zamiast żałować za grzechy i przepraszać Boga, ty się śmiejesz i weselisz? Czy nie boisz się sądu Bożego?

— Gdzież tam — odrzekł brat — wiem, że jestem człowiekiem grzesznym; Boże, bądź mi miłościwi! Ale przez całe życie swoje przestrzegałem jednej cnoty: nigdy nie sądziłem źle bliźnich swoich, nigdy o nich źle nie myślałem, ani nie mówiłem. A Pan Jezus przyrzekł: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni”. Jakże więc mam się bać sądu Bożego?

A ponieważ nadchodzi zima, a w kraju jest tyle biedy i nędzy, a zewsząd wzywają nas o pomoc dla ubogich i bezrobotnych, więc przypomnę jeszcze drugie słowo z ewangelii: „Błogosławieni miłośnierni, albowiem miłosierdzia dostąpią”.

Oto sposoby, którymi można zdobyć może nie wspaniały pogrzeb, ale dobrą i szczęśliwą śmierć, której po najdłuższych latach ziemskiego żywota życzy miłym Czytelnikom i sobie

wuj z Baranowa.



Gęsi czesać czy podskubywać?

Sprawy Kobiące

W dziesięciu przykazaniach Towarzystwa Ochrony Zwierząt, jedno przykazanie brzmi następująco: „Nie wolno podskubywać gęsi i kaczek”. Któż to przykazanie wymyślił, trudno mi zbadać. Sądzę jednak, że ktoś taki, który nigdy sam gęsi ani kaczek nie skubał, lub jeśli to czynił, to po barbarzyńsku. Niektórzy zalecają wyczesywanie pierza grzebieniem, któż to jednak czyni? Na wzmiankę o wyczesywaniu gęsi gospodynie w kułak się śmieją i żadna nie daje posłuchu tej nauce.

Gdy pierze jest dojrzałe, wyskubywanie nie sprawia ptakom bólu, przeciwnie, przynosi im ulgę. Wczesne lęgi można podskubywać trzy razy do roku. Pod koniec maja, koniec lipca i połowę września. Lęgi późniejsze skubimy dwa razy do roku i to wtedy, gdy pierze jest dojrzałe. Następnie to, gdy gęsi lub kaczki poczynają pierze gubić. Wyskubywane pierze powinno być czyste. Przed podskubem wypuszczamy gęsi i kaczki na stawek, by dobrze się wymyły. Na noc wpuszczamy je do czystego chlewiku, wysłanego świeżą słomą, w którą wycierają resztę brudu. Od samego rana przystępujemy do podskubywania ptaków.

Wyrwać należy tylko pierze, które łatwo wychodzi. Kłak u dojrzałych piór jest zasuszony. U niedojrzałych kłaki krwawią i posiadają lepłą ciecz. Pierze niedojrzałe jest mało wartościowe a mięsne kłaki doskonałym wabikiem moli. Najprędzej dojrzewa pierze na grzbiecie i ogonie, potem na skrzydłach, na podbrzuszu, a na końcu pod skrzydłami. Skrzydła należy podskubywać bardzo oględnie. Tutaj bowiem popełniają gospodynie błąd i przez to gęsi po podskubaniu, wloką skrzydła po ziemi miast je zakładać na ogonie. Skrzydła podskubać tylko tyle, by gęś mogła je swobodnie zakładać na ogon.

Po podskubaniu gęsi należy je lepiej karmić, dając im przez 14 dni paszę treściwą w postaci gotowanych ziemniaków wygniecionych z sruć lub otrębami. Ponadto dodać im co rano i wieczór trochę owsa.

W.



Zima nadchodzi, trzeba suszyć buty

W obecnej mokrej porze roku, bardzo ważną rzeczą jest suszenie butów. Szczególnie ludzie, mieszkający na wsi, są obecnie po prostu zmuszeni do nieomal codziennego przemoczenia obuwia. O ile będziemy się z nim dobrze obchodzić, możemy go używać bardzo długo. Pamiętajmy więc, że buty źle suszone stają się twarde i skóra przy następnym chodzeniu łamie się, co przyspiesza zniszczenie się i popękanie obuwia. Dlatego nie wolno suszyć butów na piecu lub przy piecu i na słońcu. Najlepiej suszyć buty w przewiewie i to tak, aby mogła wyschnąć nie tylko skóra z wierzchu ale i podeszwy.

Najpraktyczniejszym sposobem jest suszenie butów przez powieszenie ich np. na oknie — ale nie w słońcu. Aby uniknąć zbyt długiego przemoczenia obuwia, zaleca się wysmarowanie go z wierzchu, a także i podeszwy olejem lnianym. Smarować trzeba obficie. Skóra napojona olejem nie przyjmuje wilgoci, a przy tym staje się giętka i miękka. Sposobu tego nie można naturalnie stosować do eleganckich trzewików.

Przechowywanie brudnej bielizny

Brudnej bieliznie mało zwykle poświęca się uwagi, przechowuje się ją często byle jak i byle gdzie, bo „jest brudna”.

A tymczasem.

1. Powinnyśmy posiadać kosz, przeznaczony wyłącznie do brudnej bielizny. Kosz ten nie powinien stać w pokoju, gdyż brudna bielizna, przepojona szczególnie zapachem potu, zapach ten na pokój rozprzeszczenia; ustawiamy go zatem w jakimś odpowiednim, przewiewnym suchym kąci. (Bielizna leżąca przez dłuższy czas w miejscu wilgotnym, ulegnie zbutwieniu).

2. Jeżeli któraś ze sztuk (np. obrusy) jest wilgotna, należy złożyć ją do kosza z bielizną dopiero po uprzednim dokładnym wysuszeniu; w przeciwnym razie sztukę „mak przysiądzie” (drobne, czarne punkciki, niemożliwe do usunięcia).

3. Bieliznę przechowujemy już posortowaną w workach, ułożonych w koszu porządkie jeden na drugim, a więc osobno chusteczki, osobno koszule, osobno sztuki z pościeli, dalej rzeczy wełniane, bieliznę dziecięcą, kolorową, pończochy, ręczniki, ścierki kuchenne i t. d. i t. d. Ułatwi to nam znacznie pracę przy wydawaniu bielizny do prania.

Każda sztuka odkładana do worka, powinna być złożona porządkie we czworo.

4. Wszelkie reparacje bielizny uskutecznić należy zawsze przed praniem. Plamy należy również przed praniem z bielizny usunąć, jak np. rdzę, plamy z owoców i t. d., aby nie udzieliły się innym sztukom.

Mich.

Co należy czynić, by zlew w kuchni się nie zapchał?

1. Nie wylewać tłustej wody od zmywania naczyń kuchennych. Trzeba tłuszcz, który osadzi się wokół naczynia usunąć kawałkiem papieru.

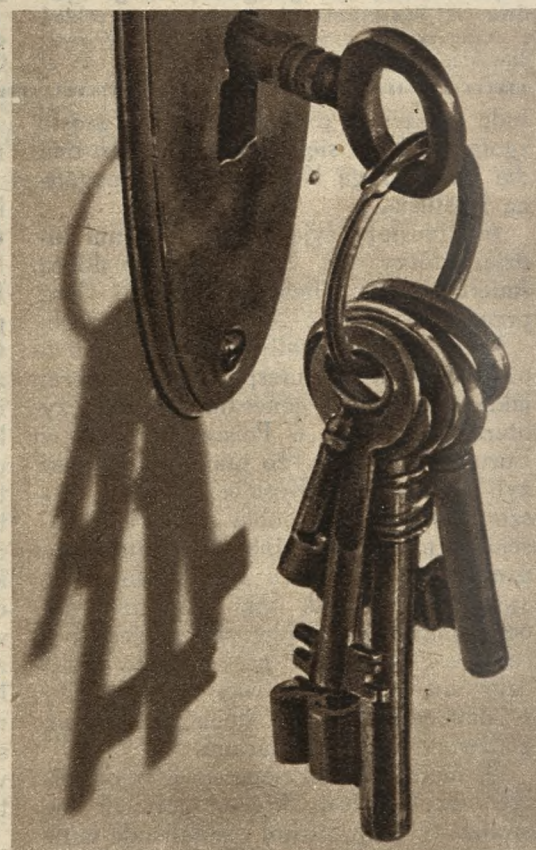
2. Nie wylewać osadu (fusów) od kawy, należy go wlać do wiadra od śmieci.

3. Nie wylewać wody od czyszczenia śledzi, ponieważ ich resztki są tłuste i najczęściej zapychają zlew.

4. Należy również wystrzegać się, by włosy nie dostały się do zlewu.

Rady praktyczne

Częstym kłopotem dla gospodyń jest wywabianie z bielizny plam pozostawionych przez pajaki, które normalnie w praniu nie puszczają. Otóż bardzo łatwo usunąć je z bielizny za pomocą roztworu boraksu. Boraks można nabyć w proszku w każdej drogerii i w każdym niemal sklepie za kilkanaście groszy. 1 łyżeczkę boraksu należy rozpuszczać w 1/4 l. gorącej wody, i tym roztworem za pomocą czystszej szmatki wycierać plamę, która w ten łatwy i prosty sposób zniknie na pewno. M. Sz.



Wszędzie ich szukamy, tylko nie tam, gdzieśmy je zostawili... Gdybyśmy mogli policzyć godziny, które tracimy na odnalezieniu rzeczy zaginionych lub zarzuconych lekkomyślnie przez nieuwagę! Porządek w domu nawet w sprawach najmniejszych zaoszczędzi nam dużo kłopotu!

Z TYGODNIA: Roosevelt będzie ponownie prezydentem Stan. Zjednocz.

Budżet opracowany

Rada ministrów uchwaliła preliminarz budżetowy, czyli wstępny wykaz wydatków i dochodów państwa na czas od 1 kwietnia 1937 r. do 1 kwietnia 1938. W przeszłym miesiącu sejm go znacznie rozpatrywać. Budżet sięga 2 miliardów 293 milionów złotych i jest o 72 miliony zł wyższy od budżetu tegorocznego. Rząd powiększa wydatki na oświatę o 7 i pół miliona zł, na komunikację o 6 i pół miliona zł, poza tym na obsługę długów. Niedoboru nie będzie. Przewidywana jest pewna przewyżka dochodów nad wydatkami.

50,7% wpływów w ciągu półrocza

Dotychczas za półrocze od kwietnia do października, budżet jest wykonywany tak, że wpłynęło nieco więcej ponad 50 proc, czyli ponad połowę dochodów rocznych. Szczególnie dopisał podatek specjalny od wynagrodzeń, dając 85 i pół miliona zł, a za cały rok da pewno 171, gdy spodziewano się tylko 150 milionów. Wzrosły wpływy z monopolów, zwłaszcza tytoniowego, z lasów państwowych, z podatku od cukru i piwa. Nie dopisały dochody z kolei i poczty. Na 76 milionów spodziewanych dochodów z kolei wpłynęło do października 2 miliony. Na 40 milionów z poczty, telegrafów i telefonów wpłynęło 12 i ćwierć mil. zł.

Początek czterolecia prac nakładowych (inwestycji)

rząd oznaczył na styczeń. W ciągu roku ma być wydane z górą 300 milionów zł. Wydatek ten nie będzie czerpany z budżetu. Zamówienia będą zadatkowane przez rząd, co przyspieszy prace w przemyśle.

Ulgi

Na poszczególne podania do władz skarbowych byłyby udzielane fabrykantom ulgi w podatku dochodowym na te roboty, które ciągnąć się będą do końca 1938 r. Na kresach wschodnich rząd przyzna ulgi wszystkim przedsiębiorstwom przemysłowym, które mają być rozszerzone, pragnie bowiem koniecznie podźwignąć te kresy. Ulgi w podatku dochodowym na budowę domów robotniczych w Warszawie, Gdyni i Łodzi byłyby przyznawane bez ograniczeń. Ulgi na budowę innych domów dochodowych byłyby znacznie uszczuplone. Co do tych ulg i ograniczeń wypowie się jeszcze sejm.

Mussolini życzy śmierci Lidze Narodów

Oświadczył w Mediolanie, że świat żyje niepotrzebnie złudzeniami. Do takich złudzeń należy rozbrojenie, które jest niemożliwe. Złudzeniem jest również wzajemne

bezpieczeństwo państw, któremu hołduje Francja. Liga Narodów powinna albo się całkiem odnowić (jak?), albo zginąć. I „Duce” jest za tym, żeby Liga zgąsła, na tym punkcie zgadzając się z Niemcami.

Obawa

Zato mocno podkreślił niezawisłość Austrii i Szwajcarii, z którą stosunki faszystów nie były dobre. Podejrzewano, że faszyzm chce Szwajcarię okroić. Dziś to się zmieniło. Włochy boją się potęgi niemieckiej. Szwajcaria i Austria to jakby dwie wielkie placówki górskie, mające bronić dostępu Niemcom do Włoch.

Ktoś z tego morza musi odpłynąć

Mussolini domaga się od Anglii zawarcia ugody śródziemnomorskiej. Dopiero po jej zawarciu Włochy przystąpią do zawarowania pokoju w Europie Zachodniej. Ale na morzu Śródziemnym Włochy chcą mieć przewagę. „Dla nas — woła Duce — morze Śródziemne jest życiem, kiedy dla Anglii jest ono tylko ścieżką.”

Za powiększeniem Węgier

Mussolini podniósł znowu prawa Węgier do obszarów, które zajęły Rumunia i Czechosłowacja. Jugosławię pogłaskał, bo Włochy tak jak i Niemcy pragną ją oderwać od Małej Ententy. Cierpko się wyraził o Francji, że ona jeszcze przez 2 miesiące od zajęcia Addis-Abeby podtrzymała bojkot przeciwwłoski.

W 16. tygodniu wojny

powstańcy ostrzeliwali z dział śródmieście Madrytu, dotarłszy do jego przedmiejskich wiosek. Przeciwnatarcie wojsk rządowych pod wodzą sowieckiego generała nie udało się. Zdołyto czołgi sowieckie i zapasy kawioru, który miał posilić czerwoną milicję hiszpańską. Pomoc sowiecka dla rządu w Madrycie wzmagą się. Tak na przykład dowódcami okrętów rządowych zostali bolszewicy.

Roosevelt po raz drugi zwyciężył

4 listopada rozegrała się walka o krzesło prezydenckie między Rooseveltem z partii demokratycznej, a Landonem, gubernatorem prowincji Kansas, z partii republikańskiej. Wybory były wstępne: 41 milionów prawyborców obierało 531 wybor-

ców, którzy w styczniu dokonają już bezpośrednio obioru prezydenta. Z tych 531 wyborców — 523 jest za Rooseveltem. Na 48 prowincyj, z których się składa Ameryka Północna, tylko 2 głosowały przeważnie na Landon, a 46 opowiedziało się za Rooseveltem. Zwycięstwo Roosevelta nad Landonem jest jeszcze większe niż poprzednie (w r. 1932) zwycięstwo jego nad Hooverem. Roosevelt ma za sobą masy rolnicze, robotnicze i małomieszczańskie.

Dla Polski obiór Roosevelta

nie ma o tyle politycznego znaczenia, że Ameryka stoi i chce stać zdala od zatargów w Europie, ale ma znaczenie dla naszego wywozu: dopiero Roosevelt obniżył cła i umożliwił produktom polskim zbyć na większą skalę (żyto, szynki, masło) na rynek amerykański.

Polacy w sejmie amerykańskim

Jednocześnie odbyły się wybory do senatu i izby posłów, również zwycięskie dla partii demokratycznej. Obrano 4 Polaków (z Chicago i Detroit) posłami.

Watykan a St. Zjednoczone

W czasie walki o krzesło prezydenckie bawił w Ameryce kardynał Pacelli. Podobno kardynał uzyskał przyrzeczenie od rządu, że Stany Zjednoczone przysła posła do Watykanu, a nawzajem nuncjusz papieski przyjedzie do Waszyngtonu.

Masoni amerykańscy i zajadli protestanci nie życzą sobie tego. Przypuszczają jednak wolno, że nawiązanie stosunków Ameryki Północnej ze Stolicą Świętą zależeć już będzie teraz od samego Roosevelta, którego władza wzmocniła się dzięki świetnemu zwycięstwu wyborczemu.

Umarł Ignacy Daszyński, wódz socjalistów polskich, przeżywszy lat 70. Założył on w roku 1890 w byłej Galicji socjaldemokratyczną partię robotniczą. Od r. 1897 do 1918 był posłem do rady państwa w Wiedniu, potem do sejmiku polskiego, w końcu przez parę lat marszałkiem, gdy opozycja miała jeszcze przewagę. W r. 1918 pisał ował godność premiera w rządzie lubelskim i bardzo krótko także godność w Warszawie (przed Moraczewskim). Należał do socjalistów umiarkowanych. Zwalczał zaciekle carat przed wielką wojną i podczas wojny. Księża w pochodzie pogrzebowym ze względu na szlankę, wrogię Kościołowi, nie brali udziału. Na cmentarzu nastąpiło jedynie poświęcenie zwłok przez kapłana i odmówienie cichych modlitw.

Postęp, który dobiera się człowiekowi do gardła (Dokończenie ze str. 743)

Natomiast państwa, które opóźniły się w zwycięskim pochodzie maszyny, mają tym samym mniejszy kryzys ekonomiczny do przetrwania.

Walka z maszyną — to chleb dla mas.

A gdy nastąpi oprzytomnienie, co przyniesie czas najbliższy?

Ogólną ruinę gospodarczą, mord, pożogę, staczanie się w otchłań występków, bo szare masy wydziedziczonych, to proch, który byle iskra podpalic może. Nowe, olbrzymie, mordercze wojny, po prostu wojny konieczności, by upuścić trochę krwi i nadprodukcji. Rewolucje niszczące wszystko, co wieki zbudowały i ochraniały.

A więc:

rozumne, celowe, na ogólnym porozumieniu oparte częściowe usunięcie maszyn, by przywrócić człowiekowi możliwość życia, pracy i uregulowania stosunków świata. Wreszcie przywrócenie koniecznej równowagi pomiędzy produkcją a zapotrzebowaniem.

Utworzyć komisję międzynarodową i jej powierzyć walkę o ograniczenie pracy maszyn i celowe ograniczenie nowych wynalazków.

Dziś jeszcze nie jest za późno, ale jutro może być beznadziejnie,

W walce z maszynami należy ochraniać to, co nam jest konieczne, a usuwać tylko to, co chleb odbiera i grozi

pewnemu odłamowi najbardziej wydziedziczonych — zagłada.

Komisja międzynarodowa powinna dokonać przeglądu wynalazków, ich szkodliwości i użyteczności.

Ograniczyć użycie maszyn w przemyśle wszechświatowym, w rolnictwie, w rękodzielach. Przymusowe, mądre ograniczenia, nie niszczące, ale rozszerzające ramy życia, to jedyna droga, która może i musi wprowadzić świat w epokę zdrowego, chociaż mniej pospiesznego rozwoju.

Walka z maszyną — to chleb dla mas!

To chleb dla wszystkich...

W Diecezjalnym Domu Rekolekcyjnym w Częstochowie odbędą się rekolekcje zamknięte: dla Matek od 16-20 listopada, dla Pań z inteligencji od 23-27 listopada, dla Panien młodszych od 4-8 grudnia b.r. Koszta wynoszą od 7-10 zł za całość.

Każdemu Abonentowi przysługuje bezpłatna porada prawna.

Szkoły Rolnicze Żeńskie w Mirosławicach i Marysinie rozpoczynają rok szkolny 15 stycznia 1937 r. Kurs trwa 11 miesięcy i jest bezpłatny. Uczennice placą tylko za utrzymanie, które wynosi 25 zł miesięcznie. Nauka obejmuje: ogrodnictwo, pszczelnictwo, hodowlę, rolnictwo, przedmioty ogólnokształcące, gospodarstwo domowe, gotowanie, pieczenie, krój, haft, szycie i pranie. Informacji bliższych udziela: Zarząd Szkoły w Mirosławicach, poczta

Zychlin pow. Kutno oraz w Marysinie, poczta Lubraniec pod Włocławkiem.

Adoracje N. S.

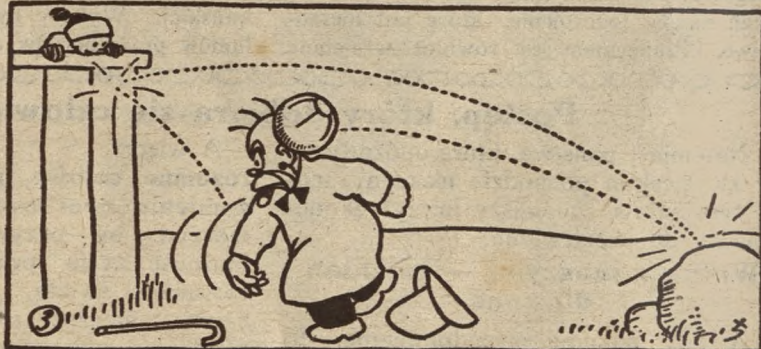
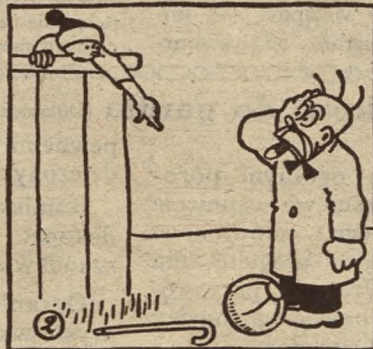
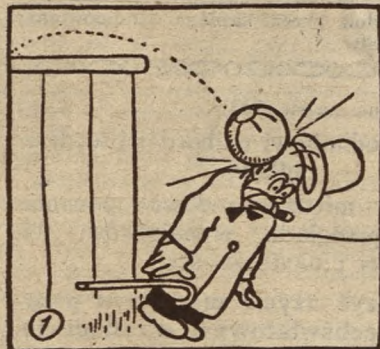
15. Wyszanów. 16. Borek i Puszczykowo. 17. Cerkwica dek. Borek. 18. Chwałkowo. 19. Góra dek. Borek. 20. Jaraczewo. 21. Jeżewo.

1. Król rumuński w galowym mundurze.
Presse-Ph.



2. W obawie przed napadem Chińczyków, dzieci japońskie w Szanghaju chodzą do szkoły pod ochroną żołnierzy japońskich.
Presse-Ph.

3. Z narodowej Hiszpanii: Oto listy z tysiącami podpisów tych, co nie szczędzą grosza dla zwycięstwa powstańców.
Presse-Ph.



PRZEKORNA PIŁKA

Lubie sportowe zawody,
Ale już taki mój los —
Nigdy nie wyjdę bez szkody,
Dostanę w ucho lub w nos.

Nawet przez parkan boleka
Piłki odnajdzie mię lot,
A piłkarz jeszcze się ciska:
— Odkopnijże ją przez płot!!!

Slup!!! — Wziąłem trochę za nisko,
Rykoszet — odbicie w tył...
Piłka od płotu — w głazisko —
Od głazu — w łeb mój — co sił.

Z przekornymi prężna praca —
W przód go wypchniesz, z tyłu
A że piłka — białołtowa, [wraca.
I o nich też tu jest mowa.

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGRÓD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobnie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1,70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł, od 10 do 59 egz. po 2,20 zł, od 60 egz. wwyż po 1,90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2,30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 684 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław K. Sosnowski w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strażków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.
Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.